Nr. 234. Lwów. — Piątek dnia 14 października. Rok 1887.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty:
Na prowincji z przesyłką pocztową:
Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 3 „
Półrocznie 6 „
Rocznie 12 „
Numer kosztuje 4 centy.
Prenumerata datować może od każdego dnia, kończyć się winna z końcem bądź miesiąca, bądź kwartału, bądź półrocza, bądź roku. P. prenumeratorowie raczą przeto nadsyłać kwotę w ten sposób, aby wypadła równo po koniec któregokolwiek z powyższych terminów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej, L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie nie jest dopuszczalna.
Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.
Miejscową prenumer. we Lwowie przyjmują: Trafika p. J. Ważnego, przy ul. Czarnieckiego l. 2. Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5. Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika l. 21.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Kaliksta Pap. Jutro: Teresy i Jadwigi.
Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska L. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 6 m. 23·0 Zachód „ 5 „ 6·0
Długość dnia g. 10 m. 43·0 Ubyło dnia 3·0 min.

Przegląd polityczny.

„Szczekanie na niemiecki księżyc" — „Wyczyny koziołków w stanie nietrzeźwym na politycznej arenie", — „Błazeńskie branie się do rzeczy", — „Objaw bezsilnej złości, wywołanej przekonaniem, że Rosja roztrzaska sobie łeb o mur spiżowy, wzniesiony przez ks. Bismarka w środkowej Europie", — to są frazesa wzięte z pism niemieckich o mowie w. ks. Mikołaja na parowcu „Uragway". Rzecz jasna, że tak nieprzyzwoite wyrazy, zaadresowane do jednego z członków carskiego domu, mocno ubodły rosyjską prasę, już i tak silnie zirytowaną komentarzami do zjazdu Crispiego z Bismarkiem. Włoski dziennik *Fracassa* doniósł, że we Friedrichsruhe, gdy już miano się żegnać, kanclerz podał p. Crispiemu sztambuch, prosząc o napisanie w nim jakiegoś zdania; p. Crispi napisał, iż czuje się szczęśliwym, że mógł obcować ze znakomitym „apostołem pokoju", — bo nie inaczej nazwie historja Bismarka. Przeczytawszy ten komplement, kanclerz się ucieszył i rzekł, iż dlań zawsze najsympatyczniejszą była praca dla pokoju. Tę anegdotę wzięły *S. Petersburskie Wiedomosti* za cel szyderczych pocisków, potem zaś, zmieniając ton, tak mówi ów organ, stojący blizko ministra spraw wewnętrznych, potężnego hr. Tołstoja: „Bardzo wątpimy, czy wymierzone oczywiście przeciw Rosji i Francji przymierze austro-niemiecko-włoskie osiągnie swój szanowny cel. Rumunja, Serbja i Grecja rychło zobaczą, czem im grozi austrjacka przewaga na bałkańskim półwyspie. Danja nie wyrzekła się swych tradycyj, a Francja jest zawsze gotowa na zawołanie, więc nie ma obawy przed siłą owego potrójnego przymierza środkowo-europejskich mocarstw, które chyba dla tego można nazwać mocarstwami, że się mocować chcą z olbrzymem. Dziś o tym przymierzu możemy powiedzieć to, co się mówi w bajce Kryłowa o „Słoniu i mopsie" — może już jutro powiemy coś tak dosadnego, że się okrutnie skrzywią panowie sprzymierzeńcy".

To bardzo odważnie powiedziano; snać rzeczywiście niedźwiedzia zadraśnięto. Ale kiedyż nastąpi owo „jutro", w którem Rosja powie coś bardzo dosadnego? Na to pytanie odpowiadają *Nowosti*, a po części i *Journal de St. Pétersbourg*. Pierwsze z tych pism pisze: „W Berlinie chcą się bawić w robienie pokoju. I owszem, któżby przeszkadzał tak grzecznej zabawie! My o niej powiemy nasze zdanie — a już tym razem stanowcze! — gdy się przekonamy jak ta zabawka wpłynie na sprawę bułgarską". *Journal* zaś tak pisze: „Stara to rzecz, że większość ludów europejskich i wszystkie rządy pragną pokoju. *Nordd. Allg. Ztg* nie powiedziała tedy nic nowego. Ale musimy zauważyć, że pragną one pokoju opartego na uszanowaniu praw wszystkich i każdego z osobna (a więc zapewne i praw narodu polskiego — czy tak? — przyp. red. Przeglądu) — praw zagwarantowanych traktatami, które stanowią kodeks międzynarodowy. — W każdej sprawie — aby ją można było uważać za nowe wzmocnienie pokoju — koniecznie potrzeba do zachowania w całości owego międzynarodowego kodeksu, a przywrócenia jego znaczenia tam, gdzie go na szwank narażono. Jesteśmy pewni, że się na tę rzecz tak samo zapatruje *Nordd. Allg. Ztg*".

Jest to więc przypomnienie, że Bułgarja pogwałciła traktat berliński — ten sam traktat, który Rosja pierwsza złamała, zniósłszy wolny port w Batumie. Komicznemi są jej żale, nie mniej jednak tak one, jak i wszystkie inne głosy pism rosyjskich pokazują, że pierwszą próbą wytrzymałości środkowo-europejskiego przymierza będzie zawsze ta sama sprawa bułgarska.

Wyżej była wzmianka o tem, że Danja nie wyrzekła się swych tradycyj. To zdaje się być prawdą. Właśnie świeżo otwartemu folkethingowi rząd przedłożył żądanie ministerjum wojny, aby w tym roku na uzbrojenia lądowe dano 31,671.000 koron, na uzbrojenia morskich wybrzeży 15.005.000 koron, na powiększenie floty 8,800.000 koron, a oprócz tego wszystkiego, żeby coroczny datek na ministerjum wojny, wynoszący 22 miljonów, nie był w żadnej pozycji obcięty. W folkethingu opozycja do rządowego stronnictwa ma się w takim stosunku, jak 74 do 25, ale tem się rząd nie krępuje; w razie odmowy, rozpędzi folkething i zrobi tak jak chce; wszakże już tak robił, a teraz niedarmo car tak długo gości w Danji.

Londyńskie dzienniki donoszą, że jeszcze za czasów gabinetu Gladstone'a, minister spraw zagranicznych hr. Roseberry ułożył się z ks. Bismarkiem o to, że kosztem marokkańskiego sułtaństwa Francja nie powinna się rozszerzać w Afryce. Do tej ugody przystąpiły Włochy teraz, podczas zjazdu Crispiego z Bismarkiem. Zapewne dlatego *Journal des Débats* (o czem doniósł wczoraj wieczorem otrzymany telegram) zapewnia, iż Francja nie życzy sobie okupacji Marokka, i konstatuje, że wysłanie pancerników przez wszystkie mocarstwa do Tangeru ma dwuznaczne cele. Tenże dziennik wzywa w końcu Francję i Hiszpanję, które jedynie istotne interesa w Marokko mają, do połączenia się, a zarazem zapobieżenia, by Marokko nie stało się drugą Bułgarją.

Według *Journal de St. Pétersbourg*, propozycje tureckie w sprawie bułgarskiej, przedstawione petersburskiemu rządowi przez Szakirabaszę, są następujące: „Wys. Porta zamianuje ze swej strony drugiego tureckiego gubernatora, który działać będzie w porozumieniu z gubernatorem rosyjskim, Ernrotem. Misja tych gubernatorów będzie miała za przedmiot tymczasowe sprawowanie rządów księstwa bułgarskiego. Gubernatorzy zachowają obecne bułgarskie ministerstwo lub utworzą nowe, złożone z przedstawicieli wszelkich stronnictw kraju. Następnie gubernatorzy ogłoszą nowe wybory do sobranja, — z których jednakże wykluczoną będzie Rumelja. Sobranje zajmie się niezwłocznie wyborem nowego księcia, z listy kandydatów przedłożonej mu przez gubernatorów. Pełnomocnictwo gubernatorów trwać będzie tylko przez 3 miesiące".

Powyższe wyjawienia petersburskiego organu stwierdzają wogóle dawniejsze pogłoski o punktach zamierzonej rosyjsko-tureckiej misji. Jak wiadomo, Rosja nie zgodziła się na propozycję powyższą; pragnie ona, aby komisarz turecki był tylko adlatusem rosyjskiego.

W obec tego Porta — jak telegrafują z Konstantynopola do *Frankfurter Ztg.* — postanowiła znowu rozpocząć „zupełnie niewinną igraszkę dyplomatycznych kroków" i w tym celu roześle niebawem okólnik do mocarstw, ale jakiej treści? — na to jeszcze nie ma w Porcie zgody, a z osiągnieniem jej nie śpieszą się nad Bosforem, bo turecki ambasador w Wiedniu, Sadullah-basza, doniósł podobno wielkiemu wezyrowi, że hr. Kalnoky tak się wyraził: „Turcja powinna o jedno się starać: o zyskanie na czasie." Ta rada austrjackiego ministra bardzo przypadła do gustu sułtanowi i znalazła chętne przyjęcie w całej Porcie.

Notujemy to doniesienie frankfurckiego dziennika z tą jedyną uwagą, że hr. Kalnoky nic podobnego nie mówił, bo jest bardzo skąpy w dawaniu rad, ale, że istotnie Porta najlepiej potrafi, rozpoczynając „niewinną igraszkę dyplomatycznych kroków", jeśli już nie może całkiem rąk założyć.

Korespondencje.

Wiedeń 10 października.

(X) Zwróciło to uwagę ludzi politycznych, że horoskop postawiony dla rozpoczynającej się dziś sesji Rady państwa przez półurzędowy *Fremdenblatt* jest czarniejszy od horoskopów stawianych przez opozycję. *Fremdenblatt* powiada: „Tylko żądza popularności mogła Staroczechów skłonić do głoszenia, że rozporządzenie szkolne jest atentatem na cały naród czeski, i do nawoływania całego swojego zastępu do zaciętej walki. Rozporządzenie owo dotyka w ogóle daleko więcej Morawę jak Czechy, a w Czechach dotyka zaledwo 52! dzieci szkolnych. Zamiast to rozporządzenie zbadać i jego następstwa, zamiast rozważyć jego niewłaściwości lub inne skutki, do czego frakcja parlamentarna ma prawo, zażądała cała prasa czeska odwołania całego rozporządzenia, nie bacząc na to, jak mylnie przez to oceniła zadanie i stanowisko rządu. Nadała ona przez to nietylko owemu rozporządzenniu znaczenie, którego ono nie ma, ale nadto przesunęła pole akcji, bo domagała się od egzekutywy, aby rewokowała rzecz całą bez poprzedniego zbadania, bez wystudjowania następstw, jakie to rozporządzenie pociągnie za sobą w całem czeskiem szkolnictwie. Bez wątpienia może dalsze zachowanie się czeskiej frakcji wywrzeć znaczący wpływ na ukształtowanie się parlamentarnych stosunków i tego wszystkiego, co z temi stosunkami jest w związku. Być razem stronnictwem rządowem i opozycją tego próbowali już wiernokonstytucyjni, a wiemy, z jakim końcowym skutkiem. Ten sam eksperyment doprowadziłby i Czechów do tego samego rezultatu..."

„Z panslawistyczną demagogją i z wcieloną nienawiścią do Niemców jest porozumienie z góry wykluczonem — powiada *Fremdenblatt* dalej. — Rozbicie większości bodaj w jednej sprawie, byłbyto dla Czechów sukces taktyczny, ale opłakany. Przecież ewentualność taka jest możliwą; od czegoż byłyby niezręczności, gdyby nie miały być popełniane! Partje giną wkońcu od własnych błędów. Domagać się rewokacji rozporządzenia, *car tel est notre plaisir*, i od tego czynić zależnem popieranie rządu, to znaczyłoby chcieć zaprowadzać absolutyzm parlamentarnych frakcyj. Nie chcemy przeczyć, że położenie przedstawia dla rządu, dla większości i dla Czechów znacznie zwiększone trudności, a będą one wzrastały, jeżeli umiarkowani dadzą się popychać przez skrajnych, nie bacząc, że są narzędziami w ich ręku..."

Co do nas, zgodnie z waszemi uwagami, nie widzimy powodów do alarmu. Klub czeski w dzisiejszym składzie swoim samobójstwa nie popełni. Uwagi wasze w numerze niedzielnym o położeniu wewnętrznem i naszkicowany przez was plan akcji większości zostały tutaj w sferach kompetentnych należycie ocenione. Artykuł ten(!) przetłómaczony na język niemiecki i wydrukowany, obiega sfery parlamentarne i rządowe. Może stanie się on jakiem ziarnem płodnem.

Wiedeń 11 października.

(?) Izba posłów przedstawia już dzisiaj prawie komplet. Tu i owdzie ktoś brakuje, lecz wszyscy nowi posłowie przybyli. Sześciu posłów młodoczeskich trzyma się osobno. Gregr dowodzi tymi partyzantami, którzy zazdroszczą widać niechlubnych laurów frakcyjkom takim jak Schoenerer. Klub czeski obradował wczoraj długo i burzliwie, głosy umiarkowania nie zostały wysłuchane, nie zgodzono się na to, żeby przed wnoszeniem interpelacji rokować z rządem i porozumieć się z innemi klubami większości. Wniesienie interpelacji dzisiaj jest zatem ze strony Czechów postąpieniem na własną rękę, na własne ryzyko. Skoro z innemi klubami większości się nie porozumieli, więc zerwali łączność, zrezygnowali w tej sprawie z pomocy klubów prawicy, nie oglądają się na solidarność, wyzwolili się z obowiązku wzajemności, wspólnych postanowień, wspólnego wogóle postępowania. — A jeżeli kiedy to w tej sprawie szkolnej i w tej chwili dotrzymanie łączności było wskazanem, gdyż sprawa ta zatacza szerokie koła, nieprzyjaciele spodziewają się, że stanie się ona rozczynem, że na niej większość dotychczasowa się rozbije. Wystąpienie zatem klubu czeskiego jest gorszącem — bez względu na treść interpelacji — okazuje ono, że nawet bez nacisku ze strony frakcji Gregra, która do klubu nie wstąpiła, klub ulega prądom nierozważnym i podaje już w wątpliwość, czy będzie w stanie dotrzymać solidarności, czy będzie mógł być nadal pewnem ogniwem w składzie większości. — Takie niewesołe uwagi nasuwają się zaraz pierwszego dnia obrad.

Taki pierwszy krok Czechów tworzy też znaczące tło dla wystąpień przewódzców opozycji Chlumeckyego i Sturma na zebraniach w Morawie.

Sturm zapowiedział konieczność złączenia się wszystkich niemieckich i centralistycznych fakcyj, w celu utworzenia bezwarunkowego przymierza z obrońcami jedności państwa. Ten przywódzca zatem radby pozyskać frakcje nurgermanów — *deutscher Club* i *deutschnationaler Club*, oraz niemieckich konserwatystów należących do prawicy.

Tymczasem już dzisiaj *Deutsche Ztg.* daje mu odprawę pełną ironji w imieniu nurgermanów, a co do konserwatystów, toż trzebaby pierwej rozbić większość i trzebaby, żeby lewica stała się konserwatywną, boć konserwatyści zasad jak rękawiczek nie zmienią.

Chlumecky znowu, jakgdyby nie bez celu jeździł do Krakowa, wprost wypowiedział w jaki sposób radby z mniejszości zrobić większość: przez alianse, „alianse z osobistościami centralistycznie usposobionemi, a potem z zastępcami innych narodowości, o ile z niemi antagonizm narodowy nie zachodzi". Więc jest to znowu inna spekulacja na żywioły konserwatywne z prawicy, na klerykalne, o których przypuszcza Chlumecky, że nie są autonomiczne, oraz na Polaków. Te wyznania są nader cenne. Najpierw okazują, że opozycja, przynajmniej prawe jej skrzydło widzi już, że drogą prostej negacji nic nie wskóra, że nie można trwać na stanowisku ekskluzywnem, lecz należy szukać aliansów, koalicyj. A toż z tej metody robiła dotąd opozycja niemal zarzut zbrodni, konszachtów, *luogo di trafico* przeciw prawicy. Zmieniają się zatem zapatrywania.

Oczywista skoro p. Chlumecky spekuluje nie tylko na centralistów, ale równocześnie także na Polaków, więc jakże to pogodzić? jakież miałyby być warunki aliansu? Te „myśli przyszłości" nie są zbyt jasne, a nadto nie podziela ich lewe skrzydło opozycji. Toż niedawno domagał się ponownie Plener podziału Czech, nurgermanja pragnęła wydzielenia Galicji, żeby można Czechów i innych Słowian gnębić t. j. żeby można system autonomiczny znieść. Jednakże mimo to wyznania p. Chlumeckyego są ważne z powodu, że uznają potrzebę koalicyj, więc wniosek ztąd, że kto tę potrzebę uznaje byłby gotów do kompromisów. Na teraz i od razu wyznania te skutku mieć nie będą, lecz kiedyś, w danym razie mogą się przydać.

Ważne wyznania przynosi organ konserwatystów niemieckich *Vaterland*. Najpierw zapewnia, że pewne cele idealne nie mogą być stawiane wtedy, jeżeli własne stronnictwo ich popierać nie chce. Odnosi się to zapewne do konfesyjnej szkoły. Dalej stwierdza bankructwo egoistycznego i materjalnego liberalizmu. Więc łatwiej już teraz przeciw rozluźnieniu liberalnem wracać na drodze prawa do związków naturalnych i historycznych, a drogą jest solidarność chrześcian, którzy domagają się konfesyjnej szkoły. Zapewne to tylko teoretyczna uwaga, gdyż inaczej sprzeciwiałaby się praktycznej na początku wypowiedzianej. Domaga się dalej współdzielnego związku producentów rolniczych i wielkiego przemysłu. Co pod tem właściwie rozumieć, nie wiadomo — ale jeżeli *Vaterland* uwagi z powodu nowej sesji Izb do tych refleksyj ogranicza, to można liczyć na to, że frakcje, których jest organem, wytrwają w solidarności prawicy, co obrania systemu autonomji. Konsekwencja zasad konserwatywnych tego wymaga.

Ciekawość koncentruje się oczywista obecnie na odpowiedź ministra Gautscha, a zapewne w tych dwóch tygodniach, które reichsrat obradować będzie aż do odroczenia, wniesie i p. Dunajewski budżet, żeby podczas odroczenia komisja mogła nad nim pracować.

W sprawie krakowskiej szkoły przemysłowej.

Kraków 10 października 1887.

W dzienniku waszym z dnia 7 września br. w korespondencji z Wiednia z dnia 4 września b. r. wyczytałem ustęp odnoszący się do szkoły przemysłowej krakowskiej. Wtedy nie było mi możebnem zaraz wziąć się do pióra i skreślić kilka uwag, jakie mi się po długiem i jak mi się zdaje wytrawnem obserwowaniu tej szkoły, jako w tym kierunku fachowemu człowiekowi nasunęły. Sądzę jednak, że nic w tem spóźnionego nie będzie i przyda się może do uwzględnienia w sferach, które będą rozstrzygały w sprawie mianowania nowego dyrektora tejże szkoły.

Zwalanie w zupełności winy na usuniętego dyrektora, że szkoła „żadnego sobie znaczenia w kraju nie wyrobiła i nie zaznaczyła się żadną zasługą" nie ma podstawy; nie on jeden tu winien, on jest po części kozłem ofiarnym i musiał temu losowi uledz; nie wchodzę w to czy słusznie czy nie i nie mam zamiaru kruszyć kopji w jego obronie.

Złe tkwi głębiej, bo w samym pierwotnym sposobie erekcji tejże szkoły, w utworzeniu jej jako akademji przemysłowej.

Czy stopień przemysłu jest u nas tak wysoki, aby nam akademja przemysłowa była potrzebną? Sądzę, że każdy bezstronnie patrzący odpowie ze mną, że nie. Że szkołę tę jako akademję utworzono, winien nasz powiedzmy sobie otwarcie szowinizm, lubiący wszystko w powiększonych widzieć i mieć rozmiarach i nasza próżność, żeśmy powinni wszystko to samo mieć, co posiadają inne prowincje, z któremi pod względem przemysłu nam się nie mierzyć. Da czego my nie mamy mieć, kiedy tamci mają?

Błąd popełniony w tym kierunku na szczęście rząd sam dostrzegł i już naprawił. Jestto jednak tylko jak dotąd naprawienie tytułu, albowiem rzecz sama t. j. osoby nauczycieli i organizacja wewnętrzna zostały te same.

Jeżeli szkoła przemysłowa ma rację bytu, to w tym przypadku tylko, jeżeli dostarcza ludzi fachowych tej miary, jakich i w tej ilości, ilu ich stan przemysłowy kraju potrzebuje. Dopływ uczniów zależy i od potrzeby w tym kierunku ludzi fachowych i od dobroci szkoły a zatem i od dobroci jej nauczycieli.

Kraj nasz potrzebuje dobrych gorzelników, garbarzy, farbiarzy, piwowarów, dobrych majstrów murarskich, ciesielskich i tacy powinni wychodzić ze szkół przemysłowych.

Przypatrzmy się ilu ich dostarczają takie szkoły przemysłowe jak w Bielsku, Salzburgu i t. p., jaki w nich napływ uczniów i z jakiem oni po ukończeniu szkoły są uznaniem dla dawnych swoich nauczycieli. A w krakowskiej szkole ilu jest uczniów? czem się ta szkoła pochwalić może? co wyprodukowała? gdzie się rozeszli jej uczniowie, mimo że już dostateczną liczbę lat istnieje? To nie wina jednej osoby dyrektora, to wina całego gremium nauczycielskiego, to wina wszystkich jego członków. Czy ci ludzie pracują dalej nad własnem kształceniem się od chwili jak zostali mianowani nauczycielami? Nie wymaga się od nich, aby naukę posuwali naprzód, ale aby dawali dowody, że w swoim zawodzie pracują i aby sobie wyrobili to uznanie, iżby ich w kraju, posiadającym jedyną tylko tę szkołę, za wytrawnych rzeczoznawców w ich własnym fachu uważano. Z niektóremi wyjątkami jak n. p. Prof. Odrzywolskiego czy znajdzie się drugi, aby co o nim w jego zakresie działania słyszano, czy wie kto, że w Krakowie istnieje szkoła przemysłowa? a słuszna jest od jej nauczycieli tego wymagać, bo to są wszystko ludzie młodzi, w wieku zdolnym do pracy a tem samem obowiązani do niej, ludzie nie mający prócz swego nauczycielskiego zawodu żadnego

---

2)

BRATOWA.

POWIEŚĆ

przez

W. CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

Może o tem coby zrobił, gdyby był królem; może o znikomości wszelkich ambicyj; może o zemście nad wrogiem, nie zaręczyłbym bowiem za słodycz jego charakteru. Starajcie się podchwycić jego tajemnicę, gdyż nie wyjawił jej przed nikim; lecz bądźcie przekonani, że nie myśli o kuzynce Simonie. Wice-hrabia d'Arolles, był bardzo podobnym do tego nieznajomego w czarnym stroju. Seweryn jednak nie potrzebował odgadywać jego tajemnic; Maurycy nie czekał nigdy na jego pytania, mówił mu wszystko, ubolewając tylko, że przyjaciel nie obdarza go podobnem zaufaniem! Niestety, Seweryn nie miał nic do opowiadania, żadnem nie mógł się pochwalić łotrowstwem. Niebawem też rozdzielili między sobą rolę w zwierzeniach rodzącej się przyjaźni, jeden opowiadał, drugi udzielał rad.

Gdy wice-hrabia d'Arolles nie zdał egzaminu, brat nie poskąpiwszy mu surowej nagany, zażądał od niego, by natychmiast zadecydował, jaki fach sobie wybiera. Przyciśnięty do muru, wybrał zawód prawniczy. Łatwo odgadnąć, że na kursa nie bardzo regularnie uczęszczał, ale za to widywano go często na bulwarach. Uważał je bowiem za ojczyznę wszystkich pozbawionych własnego kraju i za jedyne miejsce na kuli ziemskiej, na którem można żyć, nie zadając sobie trudu myślenia o tem. Seweryn wszedł do szkoły Sztuk Pięknych, pracował w niej zapamiętale, otrzymał pierwszą nagrodę w dwudziestym trzecim roku życia, a wice-hrabia d'Arolles, pierwszy przyniósł mu tę pomyślną wiadomość.

— Jedziesz tedy do Rzymu — rzekł do niego, — jeżeli podczas twej nieobecności, popełnię zbrodnię dla zabicia nudów, tobie przypiszę winę i twemu nieszczęsnemu upodobaniu do budownictwa.

Szczęściem nie popełnił żadnej zbrodni i dzięki kobietom, potrafił zabić nudy w inny sposób. Miał on w wielkim świecie i po za wielkim światem niesłychane powodzenie. Użył życia i nadużył go, szarpnął nieco majątku, ale karty postawiły go znowu na nogi, grał z zuchwałem szczęściem. Z przyjacielem korespondował regularnie. Donosił mu, iż ma mu wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia i błagał go, by prędzej wracał.

„Człowiek szanujący siebie — pisał do niego — powinien często zmieniać kochanki, lecz nie może bez ubliżenia sobie zmieniać powiernika. Jedna jest tylko rzecz niezbędna na tym świecie, to przyjaciel, przed którym ze wszystkiem zwierzyć się można".

Bolesne okoliczności skróciły nieobecność Seweryna Maubourg. Pewnego dnia w sierpniu w r. 1870, był zajęty zdejmowaniem szkicu świątyni Westy, gdy dowiedział się od przechodnia o pierwszych klęskach armji francuskiej. Podarł rozpoczęty rysunek i odjechał tego samego dnia, by wstąpić do wojska. Był pewnym zezwolenia ojca, ale lękał się sarkazmów Maurycego. W godzinę po przyjeździe do Paryża, pobiegł do przyjaciela, który padł mu w objęcia szlochając. Seweryn zaledwie mógł go poznać, był mizerny, z policzkami wpadniętemi, a w oczach jego przebijała głęboka boleść. Strzały z pod Reischoffen i Forbach, przypominały temu kosmopolicie, iż jest synem Francji. Prawdy odwieczne ukazały mu się w ogniu błyskawicy.

W dwa tygodnie później służyli jako prości żołnierze w jednym pułku i w jednej kompanji. Wyprawa ich niedługo trwała. Pewnego ranka na forpocztach, Seweryn został raniony, Maurycy ocalił mu życie, zabiwszy strzałem pistoletowym pruskiego ułana, zabierającego się zadać cios śmiertelny jego przyjacielowi.

Wieczorem, obadwaj wzięci do niewoli, zostali wysłani do Królewca. Niewola, nienawiść do wszystkiego co ich otaczało, owo ciężkie, wiecznie szare niebo, zdające się przemawiać niemieckim językiem, bolesna bezczynność, przygnębiły wice-hrabiego d'Arolles; waleczny w boju, nie miał on odwagi czekać cierpliwie i uledz smutnemu losowi. Ponure zniechęcenie gryzło go.

Gdy doszła do nich wieść o kapitulacji Metzu, dostał napadu wściekłości i rozpaczy. Wkrótce potem tak ciężko zaniemógł, że lekarz zwątpił o jego życiu. Seweryn apelował od tego wyroku; przez cztery tygodnie nie odstąpił od łóżka chorego ani dniem ani nocą i był na tyle szczęśliwym, iż go ocalił.

— Wygraliśmy każden po jednej partji — rzekł Maurycy do niego po wyzdrowieniu — zobaczymy, kto wygra trzecią.

Wice-hrabia d'Arolles mógł sobie powinszować, że nie był w Paryżu w pierwszych czasach komuny, nie wiadomo do jakiej ostateczności byłby się posunął. Wrócił do Francji w tak ponurem rozdrażnieniu, że bredził po prostu; świat cały przedstawiał mu się czerwono. Wspomnienie tego wszystkiego co zaszło od dziesięciu miesięcy, dręczyło go jak zmora. Zdawało mu się, iż rząd wszechświata wziął dymisję, a historja dostała pomięszania zmysłów i że nic już do czynienia nie pozostało, prócz szaleństwa i rozpaczy. W tym stanie egzaltacji usprawiedliwiał podpalaczy, utrzymując, że po Sedanie wypada zniweczyć przeszłość, wznieciwszy pożar na całej kuli ziemskiej. Brat jego Henryk nie podzielał tej opinji. W ciężkich niepowodzeniach kraju postąpił jak zacny syn ojczyzny, nie szczędząc ani swej osoby ani swego majątku. Patrjotyzm jego został wynagrodzonym, gdyż niektórzy ludzie są na tyle szczęśliwi, że wszystkie ich dobre uczynki nie pozostają bez nagrody.

Hrabia d'Arolles został wybrany na posła; za cesarstwa nadaremnie stukał do wrót ciała prawodawczego, dzisiaj ujrzał przed sobą otwartą karjerę, do której wzdychał. Statek był mocny, dobrze zaopatrzony, sternik zręcznie nim kierował i wiatr dął w jego żagle. To wszystko usposabia do filozofji; patrjota pozwalał się też pocieszać deputowanemu, który mu obiecywał, że niebawem zostanie ministrem albo ambasadorem.

Usposabiało go też pobłażliwie dla brata, chociaż jego gwałtowne teorje martwiły go. Tłómaczył mu, że nie wypada palić książki dla tego, że jedna w niej kartka jest splamioną i że zapaleńcy są krótkowidzami, jeżeli nie są łotrami; wkrótce jednak zrozumiał, iż Maurycy jest chorym i że go nie wyleczy moralnemi naukami. Namówił go, by podróżował w celu rozrywki i jak powiadał, dla odzyskania zdrowego rozsądku.

Maurycy postawił za warunek, iż Seweryn będzie mu towarzyszył, na co p. Mauborg ojciec, nie chętnie się zgadzał. Hrabia d'Arolles potrafił jednak zwalczyć jego opór i obydwaj towarzysze odpłynęli do Stanów Zjednoczonych.

Hrabia d'Arolles dobrze wybrał kurację, najodpowiedniejszą dla swego brata. Po sześciu tygodniach podróży, umysł Maurycego wrócił do równowagi, odzyskał on niemal zupełnie swoję dawną obojętność, kagańce jego pogasły, a zapał do pożarów ustąpił miejsca umiarkowanemu republikanizmowi, pozwalającemu mu sypiać spokojnie. Gdy już zwiedzili jeziora, namówił przyjaciela, by pojechali aż do San-Francisco, gdzie miał szczęście ocalić mu życie po raz drugi. Kąpali się w zatoce. Seweryna kurcz schwycił, tak, że uniesiony prądem, niebawem poszedł na dno. Maurycy musiał dwukrotnie się zanurzyć, zanim zdołał wydobyć go na brzeg. Sądził, że już nie żyje, lecz Seweryn miał twardą naturę i niebawem wrócił do zmysłów. Gdy już wstał na nogi, Maurycy rzekł:

— Wygrałem trzecią partję.

— Pozwól mi się odegrać — odpowiedział mu — gra nadal pozostaje otwartą.

— Pływam jak ryba — odrzekł wice-hrabia d'Arolles — nie zrobię ci tej przyjemności, bym miał tonąć.

— Zobaczymy — rzekł Seweryn — nie tylko w wodzie można tonąć.

W trzy miesiące po opuszczeniu Europy, Maurycy otrzymał list od brata, któremu szczęście znowu się uśmiechnęło. Od pół wieku gwiazda, przewodnicząca losom rodziny d'Arolles, zdawała się zaćmiona. Czy to przez nieostrożność, czy w skutek nieprzewidzianych okoliczności, dość że stracili byli część majątku, który już nie odpowiadał ani wspomnieniom dawnej świetności, ani ich zasługom i ambicji. Szczęśliwy Henryk wstrzymał upadek. Donosił bratu że się ożenił ze śliczną, dwudziestotrzyletnią panną, jedyną córką starej księżnej de Riaucourt i że małżonka przyniosła mu w posagu dwa miljony, odziedziczone po ojcu. Czy dla tego nazywamy ludzi zręcznymi, że im się we wszystkiem powodzi? czy też powodzi im się dla tego, że są zręcznymi? Któż w tem powodzeniu potrafi rozdzielić część przypadającą zasłudze od tej, jaka się należy ślepemu szczęściu?

(C. d. n.)

innego zajęcia. Znakomici nauczyciele robią szkołę znakomitą i sławną.

U nas gdzie ich słychać? Oto podczas agitacji przy wyborach czy to do Rady państwa, czy do Sejmu, czy też do Rady miejskiej, ale nie jako popleczników, partji wytrawnej, rozumnej, jak najlepiej dla kraju i miasta pragnącej, lecz jako stronników i ślepe narzędzie kilku osób, własnego dobra i wyniesienia się nad innych pragnących, jako zagorzałych agitatorów przeciw prawdziwej inteligencji, mimo że sami do inteligencji należą.

Ludzie ci doszli do godności profesorów akademji po większej części jako ludzie bardzo młodzi, nie wytrawni, bez żadnych poprzednich dosługiwań się przez niższe szczeble. Nie mieli przedtem ani sposobności, ani czasu do zastanawiania się nad samymi sobą, do porównywania swej wartości naukowej z profesorami rutynowanymi, doświadczonymi i dla tego doszli do rozumienia o sobie, że są powagami naukowemi i skończonemi wielkościami. Taki nagły skok olśniewa i zaślepia, tem bardziej, jeżeli niespodziewanie się zdarzył.

Za tem za wielkiem wyobrażeniem o sobie musiała iść również wielka drażliwość o swoje prawa i atrybucje względem dyrektora. To było główną przyczyną ciągłych między dyrektorem a profesorami scysyj i niesnasek, których w tych warunkach trudno mimo największego taktu ze strony dyrektora uniknąć, to był szkopuł, który pomyślnemu rozwijaniu się szkoły zaszkodził i to będzie dalej słaba strona tej szkoły, jeżeli radykalnej i rychłej nie ulegnie zmianie.

Jeżeli nowy dyrektor tej szkoły będzie mógł coś z niej wyrobić i do jakiego znaczenia ją podnieść, a przez to na szkołę dla kraju pożyteczną ją przeobrazić, to musi z jednej strony być osobą wszechstronnie wykształconą, sprężystą i pełną taktu, musi mieć za sobą doświadczenia tak fachowe jak i pedagogiczne, a nie być tylko szczęśliwem dzieckiem protekcji, a z drugiej strony musi mieć daną możność łatwego zaprowadzenia zmian, jeżeli jakie uzna za stosowne i konieczne i musi być bezwzględnym w uznaniu i ocenianiu, czy z dotychczasowego personalu nauczylskiego wszystko ma pozostać *in status quo*, czy też czy dla uratowania szkoły i dla jej przyszłości pousuwa to, co za nieodpowiednie uzna, a innemi świeżemi siłami zastąpi.

Obecna chwila jest rozstrzygająca o przyszłości naszej szkoły przemysłowej. Jeżeli wybór osoby dyrektora będzie szczęśliwy i jeżeli tenże będzie umiał trafić w jądro złego i usunie je, możemy być o los szkoły zupełnie spokojni.

Karabiny Mannlichera.

Militär Ztg ogłasza artykuł pochodzący jak się zdaje z najlepszego źródła, a omawiający karabin Mannlichera. Wyjmujemy z tego artykułu niektóre zajmujące ustępy.

„Według informacyj, dochodzących nas z autentycznych źródeł, możemy donieść, że okres prób i poprawy karabinów Mannlichera jest zamknięty; że wojskowy komitet techniczno-administracyjny zalecił już ministerstwu zupełnie gotowy i odpowiedni w każdym względzie model broni, i że austrjackie towarzystwo wyrobu broni otrzymało już stanowcze polecenie pośpiesznej dostawy broni według zatwierdzonego modelu.

„Kwestja broni jest przeto faktycznie i ostatecznie — dla nas przynajmniej — załatwioną, i jakkolwiek wiadomość ta może być bardzo nie na rękę interesowanym zwolennikom innego systemu broni, spodziewającym się zawsze jeszcze zarzucenia systemu Mannlichera, to nas i niewątpliwie całą armję wieść ta napełnia radością i pewną satysfakcją. Broń Mannlichera zjednała sobie podczas prób w szkole strzelania wielu przyjaciół i znawców prawdziwych i zaiste byłoby smutnem, gdyby już niemal w ostatniej chwili została odrzuconą.

„Kiedy przed rokiem zaczęto montować kompletne maszyny do wyrobu broni, a następnie zajęto się fabrykacją karabinów repetjerowych w fabryce w Steyr, wtedy jeszcze było bardzo usprawiedliwionem i na czasie, że przed nowym systemem dano pierwszeństwo dotychczasowemu kalibrowi o 11 milimetrach. Grały tu bowiem rolę nietylko techniczne trudności konstrukcji, ale także i niebezpieczeństwo, że na wypadek istotnej potrzeby użyć nowej broni nie będzie można, a obawy te przemawiały w ten sposób przeciw nowej broni o małym kalibrze, że byłoby istotnie ryzykiem przystępować odrazu do fabrykacji tej broni. Mimo to jednak naczelne kierownictwo armji wzięło kwestję broni o mniejszym kalibrze na serjo pod rozwagę, a podczas gdy mniejsze fabryki i pracownie robiły nieustanne doświadczenia z nowym systemem, równocześnie zarząd armji obserwował pilnie postępy jakie na tem polu gdzieindziej osiągano. Owóż rezultaty tych i tamtych spostrzeżeń były takie, że ich w ocenieniu ogólnej dobroci broni pominąć nie było można, i że one wreszcie wywarły niejako konieczną presję na Zarząd centralny armji. Faktami które głównie na to wpłynęły, były: naprzód ponowne ulepszenie prochu fabrykowanego w Stein; preparat ten został istotnie wyrobiony do potrzebnej dla małokalibrowej broni doskonałości. Następnie drugi fakt który wzięto na uwagę, był ten, że doświadczenia z małokalibrową bronią francuską (Lebel) i z prochem odpowiednim *(Brisanzpulver)* dały doskonałe wyniki i że nawet Niemcy, które właśnie dopiero co ukończyły przeróbkę systemu Mausera na system magazynowy, wynalazły u siebie także system małokalibrowy i przygotowały jego rozpowszechnienie. Te fakta właśnie nałożyły na zarząd centralny armji obowiązek ponownego sumiennego zbadania kwestji, czy możliwem i czy koniecznem jest, ażeby broń nowo sprawić się mającą opatrzyć w mały kaliber, a mianowicie w ogóle dla celów wojennych dopuszczalny kaliber minimalny 8 milimetrów. Odpowiedź na to pytanie wypadła potwierdzająco, i to z obu powyższych względów. W tym też duchu zapadła decyzja, wskutek czego zawieszono w fabryce w Steyr wyrób karabinów 11 milimetrowych. Ponieważ jednak fabrykacja nagle ustać nie mogła i ponieważ wszystkie przygotowane części składowe broni byłyby pozostały nieużytkami, przeto postanowiono, że rozpoczęta już fabrykacja wielkokalibrowej broni ma być dokończoną. Tym sposobem stało się, że w jednej i tej samej fabryce wyrabiano i jeszcze dzisiaj wyrabia się po części broń nowego systemu, a po części dawny system Mannlichera. Kto zna ustrój nowoczesnej fabryki broni i kto wie, że części składowe karabina przechodzą w ogóle przez 600 maszyn, zanim całość złożoną zostanie — ten niezawodnie nie zechce sobie wyobrażać, że wyrób starego systemu doryweczo i nagle przerwać było można i od razu rozpocząć fabrykację broni nowego systemu.

„Wreszcie co się tyczy małokalibrowego Mannlichera, który ma być ostatecznie w armji całej zaprowadzony, to zaiste bez przesady możemy upatrywać w nim rodzaj broni, którego pod względem donośności strzału, akuratności linji rzutu, szybkości wymiany strzałów, wreszcie ogólnej użyteczności w boju tak prędko jakikolwiek inny model nie przewyższy. Nowy proch z Stein w małej ilości wywiązuje dostateczną prężność, tak, że z jednej strony nie zachodzi wcale potrzeba zbytniego wydłużania nabojów, z drugiej zaś otrzymuje się chyżość początkową 580—590 metrów, która według doświadczeń Heblera i Rubina zapewnia odpowiednią donośność strzału.

„Jesteśmy przeświadczeni, że nowy system broni, którego części składowe już się wypracowują w fabryce styryjskiej, wzbudzą w naszej armji wkrótce zupełne zaufanie, którego każda broń tak bardzo potrzebuje — i nie wątpimy że Delegacje wspólne po zejściu się na sesję parlamentarną, znajdą w kwestji nowego systemu broni sytuację tak wyklarowaną jak lepiej tego życzyć sobie nie można".

Zamknięcie Wystawy krajowej.

Kraków 12 października.

Dzisiaj przed południem o godzinie 11 odbył się w pawilonie głównym Wystawy na Błoniach akt zamknięcia Wystawy krajowej. W loży Protektora jawili się delegat Namiestnictwa hr. K. Borkowski, prezydent dr. Szlachtowski, a nadto uczestniczyli w akcie JE. ks. biskup Dunajewski, JE. Paweł Popiel, prezes Majer, dr. Jakubowski, p. Struszkiewicz i wielu innych.

Prezydent Szlachtowski przemówił do zgromadzonej publiczności jak następuje

„Wystawa krajowa odbyła się pod protektoratem JCK. Wysokości Najd. Arcyksięcia Następcy tronu Rudolfa, a uroczyste jej otwarcie zaszczycił swą obecnością mianowany zastępca JE. p. Namiestnik. Na zawiadomienie o dziś nastąpić mającem zamknięciu Wystawy, Ekscelencja p. Namiestnik oznajmił, że z powodu urzędowych czynności przybyć nie może i mianował zastępcą JW. Delegata hr. Borkowskiego, i dlatego witam Cię, Panie, na tem miejscu jako reprezentanta rządu.

„Przy otwarciu Wystawy mieliśmy sposobność powiedzenia, jak ta Wystawa powstała, jaki był jej cel i w jaki sposób starano się ten cel osiągnąć. Dziś, w chwili jej zamknięcia powstaje pytanie, jaki skutek jest i będzie tej Wystawy. Nie można zaprzeczyć, że Wystawa wywołała powszechne zajęcie, a objawem tego było jej zwiedzenie przez osoby należące do rozmaitych sfer od najwyższych do najniższych. Przedewszystkiem z wdzięcznością wspomnę o przybyciu JCW. Arcyksięcia Karola Ludwika z Najd. synem Arcks. Ferdynandem. Wiadomo jest, że ten Najdostojniejszy członek cesarskiej rodziny zachowuje zawsze w miłej pamięci kilkuletni pobyt w naszym kraju i przy każdej zdarzonej sposobności okazuje nam szczególną życzliwość. Dowodem tego przyjazd na Wystawę, która go tak zajęła, że wyraził żal, iż dłużej zabawić nie mógł. Jak najwyższe sfery rządowe nasze usiłowania o podniesienie rolnictwa, przemysłu i handlu oceniają, dowodzi ten rzadki fakt, że w ciągu kilku tygodni witaliśmy w naszem mieście czterech najwyższych dostojników: Ekscelencję Dunajewskiego ministra skarbu, Ekscelencję Falkenhayna ministra rolnictwa, Ekscelencję Gautscha ministra oświaty i Ekscelencję barona Ziemiałkowskiego ministra dla Galicji. — Wystawa krajowa przedstawiła im stan naszego kraju. Jeżeli tych dostojników nie jedno co widzieli zadawalniało, to nie mogło także ujść ich uwadze, że nam jeszcze wiele brakuje i że potrzeba nam ich pomocy, której się od nich spodziewamy.

„W ciągu Wystawy odbywały się w naszem mieście liczne zjazdy. Rozpoczęło się od zjazdu członków Towarzystwa rolniczego krakowskiego i lwowskiego przy równoczesnym zjeździe delegatów Kółek rolniczych i sąsiednich braci Szlązaków, których, jako rolników, szczególniej zajmowała wystawa produktów rolnictwa, a najbardziej okazała wystawa bydła, jak późniejsza, równie udana wystawa koni. Po rolnikach nastąpiło zebranie notarjuszów, a do szczególnie udanych należy zjazd prawników i ekonomistów polskich. Wkrótce później przybyli w znacznej liczbie kupcy i przemysłowcy, którzy nietylko zwiedzali Wystawę, lecz także zajmowali się ważnemi sprawami swego zawodu. Nakoniec należy z wielką przyjemnością wspomnieć o przybyciu gości z Węgier, które dało nam sposobność do wymiany wzajemnych serdecznych uczuć i do wywzajemnienia się za przyjęcie, któregośmy przed dwoma laty u nich doznali.

„Mówiłem o zwiedzaniu Wystawy, ale zwiedzanie nie jest ostatecznym celem, lecz środkiem do właściwego zadania, a tem jest nauka, postęp i podniesienie ogólnego dobrobytu. Przy otwarciu Wystawy powiedzieliśmy: oto mamy Wystawę, a teraz niechaj kraj sądzi. Słyszeliśmy i czytaliśmy już zdania o niej, a jeżeli to cieszy, kiedy bezstronny sąd wyraża się z uznaniem skutecznej pracy i rzeczywistego postępu, to z drugiej strony równie bezstronne wytknięcie braków i niedokładności nie powinno odstraszać i zniechęcać, lecz przeciwnie zachęcać do głębszej nauki i wytrwałej pracy.

„Kończąc na tem, wyrażam życzenie, aby ta Wystawa wydała błogie dla kraju skutki."

Po tem przemówieniu, ogłosił Prezydent zamknięcie Wystawy.

Po tym akcie wielka część obecnych wzięła udział w skromnej uczcie, której przebieg miał charakter niezwykle ożywiony i serdeczny.

* * *

Rezultaty Wystawy.

Bezpośrednio przed aktem ostatecznego zamknięcia Wystawy odbyło się posiedzenie pełnego Komitetu Wystawy pod przewodnictwem dr. Szlachtowskiego. Na tem posiedzeniu złożył dyrektor dr. Jakubowski sprawozdanie z rezultatów Wystawy.

Sprawozdawca zaznaczył przedewszystkiem, że Wystawa **powiodła** się zupełnie po względem **rezultatów moralnych**. Wystawa dała chlubne świadectwo usiłowaniom kraju na polu rozwoju ekonomicznego i zaznaczyła wielki postęp od czasu Wystawy lwowskiej z przed lat dziesięciu. I gdyby Wystawa tylko ten cel osiągnęła, iż wzbudzi u rządu poczucie potrzeby popierania ekonomicznych dążności kraju, to już rezultat jej byłby korzystnym. Lecz i dla kraju samego nie pozostanie Wystawa bez zbawiennych skutków. Dała ona wierny obraz naszego przemysłu, była rzetelnym obrachunkiem naszej pracy ekonomicznej i złożyła dowód, iż usiłowania Sejmu na polu przemysłowem, a niemniej działalność krajowej komisji dla przemysłu, znakomite przyniosły rezultaty. Świetnie przedstawił się pawilon szkół przemysłowych, wielkie znaczenie przyznawano przemysłowi domowemu, a także przemysł rękodzielniczy, a nawet fabryczny złożył dowody postępu. — Obecnie po Wystawie śmiało można powiedzieć, iż kraj postępuje, a przemysł jego rokuje piękną przyszłość.

Z Wielką przykrością stwierdza mówca, iż Wystawa w samym kraju z mniejszem spotkała się uznaniem, niż u obcych.

Finansowy rezultat Wystawy jest **mniej świetny**. Lecz komitet nie miał na celu robić przedsiębiorstwa — Wystawa miała inny cel. Wielkie Wystawy kończą się zawsze stratami. Wystawcom przyznano zaledwie 50—60% tego miejsca, jakiego żądali. Gdybyśmy byli rozwinęli Wystawę tak, jak megliśmy, to narazilibyśmy się jeszcze byli na większe straty.

Za bilety wstępu uzyskał komitet 20.396 zł., 17 ct., za miejsca na Wystawę 5.075 zł., 41 ct., a za losy 6.110 zł., 89 ct. Ta ostatnia cyfra niezupełnie dokładna, dochód z losów dojdzie zapewne do 8.000 zł. Ze subwencyj od Izb handlowych, od Wydziału krajowego i Kasy oszczędności ma komitet jeszcze otrzymać 10.000 zł., Rada m. Krakowa gwarantowała 10.000 zł., a **do pokrycia pozostaje jeszcze 20.000 zł.** Mówca wnosi, aby upoważnić komitet ściślejszy, iżby obmyślił odpowiednie środki celem pokrycia tego niedoboru, a mianowicie, aby się w tym celu udał do rządu, do Rady m. Krakowa, tudzież do władz i instytucyj krajowych.

Wniosek ten przyjęto, poczem postawił dyrektor Jakubowski drugi wniosek, aby za poświęcenie, trudy i prace około Wystawy wręczyć dyplomy honorowe pp.: JE. hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, Władysławowi Fedorowiczowi, Ludwikowi Wierzbickiemu, baronowi Gostkowskiemu, Szybalskiemu, Drowi Baranieckiemu i dyrektorowi Matejce. Stopnie zasług pomienionych mężów Komitet uwydatni. Komitet nie pominie też stowarzyszenia kupców i przemysłowców, które gorliwie zachęcało do udziału w Wystawie.

Następnie przemówił hr. Antoni Wodzicki. Podnosząc zasługi wszystkich, którzy przyczynili się do urządzenia Wystawy postawił następujące wnioski:

Komitet pełny uchwala:

1) P. Drowi Faustynowi Jakubowskiemu — dyrektorowi Wystawy, za gorliwą, usilną, trudną, a bezinteresowną pracę w doprowadzeniu do skutku i urządzeniu Wystawy, czem się krajowi zasłużył około rozwoju przemysłu, złożyć pisemne podziękowanie oraz ofiarować na pamiątkę upominek ze stosownym napisem, zakupiony ze składek komitetu i wystawców.

2) P. Alfonsowi Lipomanowi — który ze szczególniejszem poświęceniem wspierał i częściowo zastępywał dyrektora Wystawy w jego czynnościach, a działem rolniczo-gospodarczym Wystawy szczegółowo zarządzał, czem się zasłużył około rozwoju rolnictwa krajowego, złożyć na piśmie wyrazy podziękowania i uznania.

3) JW. P. Zygmuntowi Cieszkowskiemu za świetne urządzenie Wystawy Sztuki Polskiej, złożyć na piśmie wyrazy podziękowania i uznania.

4) Panu Józefowi Saremu, inżynierowi rządowemu, za chętną, gorliwą, skuteczną, a bezinteresowną pomoc złożyć na piśmie wyrazy uznania i podziękowania.

5) P. Ludwikowi Zawiłowskiemu, sekretarzowi Wystawy, za gorliwą, sumienną, bardzo mozolną pracę w kierownictwie biura Zarządu, 1) złożyć podziękowanie prezydjum komitetu pełnego, i 2) udzielić remuneracji w kwocie 500 zł.

6) PP. Karolowi Zarembie i Stanisławowi Chojeckiemu, za sumienne i gorliwe wykonanie przyjętych zobowiązań złożyć podziękowanie prezydjum komitetu.

Wszystkie te wnioski wśród oklasków przyjmuje komitet.

W końcu podniósł p. Ihnatowicz zasługi prezesów Wystawy, a na jego wniosek wyraził im komitet przez powstanie serdeczne i gorące podziękowanie.

TEATR.

I świat teatralny ma swoją astronomję; i na jego niebie bywają złowieszcze znaki znamieniem lub zapowiedzią „strasznych czasów i rzeczy"... Gdy w kasie pustki coraz się zwiększają, gdy „naród" poczyna okazywać coraz większą obojętność dla teatru i wszystkiego, co jego jest — dyrekcja musi uciekać się do środka ostatecznego, do serca publiczności zapukać... **bombami**. Jeden to z najtrafniejszych terminów zakulisowych. Po wyczerpaniu się komedji, dramatu, operetki, tragedji, wodewilu etc. wpada na scenę jak **bomba** — „sztuka" z jednej strony częstokroć nie mająca nic wspólnego z żadnym działem dramatycznym a z drugiej wszystkie działy możliwe kojarząca w sobie najswobodniej. Takie bomby sceniczne przez anormalne okoliczności do życia powoływane, wymagają traktowania bardzo względnego. Paczą one niezawodnie właściwy kierunek i zadanie teatru, psują smak publiczności, obniżają poziom artystyczny instytucji i jej członków a mimo to wprowadzanie bomb takich trzeba nieraz dyrekcji przebaczyć jako *malum necessarium*. Z wyższych praw ducha i estetycznego zadowolenia rezygnuje tu widz — jednostka na rzecz grubszych wrażeń zmysłowych ogółu, którego porwać i olśnić jest właśnie zadaniem każdej **bomby**. Jeżeli więc ona tylko istotnie ma czem działać na ten ogół, tę masę, na ten tłum społeczny a jego oczy, nerwy i instynkty wyzyskuje w sposób moralny i przyzwoity — cel **bomby** osiągnięty godziwie.

„Ciężkie czasy" zmusiły i dzisiejszą dyrekcję teatru ratować swe finanse przez urządzenie wielkich igrzysk na scenie, więc cisnęła między Lwowian bombę „Keraban uparty", a ponieważ w wyborze i wykonaniu rzeczy uwzględniła według wszelkich sił swoich warunki wyżej zastrzeżone, możemy jej szczerze przyklasnąć.

Keraban jest bohaterem jednej z powieści słynnego podróżnika-fantasty **Verne'go**, którą dla lwowskiej sceny starannie i umiejętnie udramatyzował p. **Walewski**. Turek Keraban jest rzeczywiście człekiem **upartym** jak rzadko, bo nie chcąc opłacić 10 paras'ami przewozu kaikiem za Bosfor, podejmuje dwumiesięczną podróż lądem na około Czarnego morza do Skutari z Konstantynopola! Trudno, żeby taki oryginał nie doznał mnóstwa rozczulających perypetyj, które też w 8 obrazach przesuwają się przed naszemi oczyma. Wszystkie żywioły: ziemia, woda, ogień i powietrze walczą z Kerabanem we wszelkie sposoby na scenie możliwe i niemożliwe a ponieważ dla serc niewieścich to wszystko jeszczeby nie wystarczyło, więc kłopoty i awantury Kerabana łączy a raczej plącze nić pięknego romansu między bratankiem bohatera a piękną Amazją i prześladującym ją Saffarem...

Resztę tej historji możemy sobie darować. W takich „Kerabanach" bowiem o treść wcale nie chodzi, nie ma nawet czasu o niej myśleć wśród zmieniającej się ciągle panoramy dekoracyj i kostjumów; los „sztuki" zależy tu nie od autora ani artystów lecz — maszynisty.

Reżyserja co do wystawy, jak na lwowskie stosunki, zrobiła bardzo wiele, zwłaszcza „garderoba" zasługuje na osobną wzmiankę. Maszynerja na pierwszem przedstawieniu zostawiła wiele do życzenia: pistolet nie wypalił, piorun się spóźnił, wagony kolejowe zanadto się wysunęły, lokomotywa djabelnie kulała a imitacja fal wodnych była niemożliwą. Usterki te jednak po dalszych spektaklach, w miarę nabieranej wprawy, będą znikać a pragnąć tego należy tem bardziej, że od takich drobnostek właśnie zawisło całe powodzenie „Kerabanów upartych"...

W tańcach niezbędnem jest większe życie i precyzja a muzyka stanowi najsłabszą stronę omawianego widowiska. Warto było postarać się o coś lepszego, niż tak niedbały zlepek arjet[illegible] melodyj oklepanych straszliwie.

Wytknięte przez nas braki bledną w porównaniu z zaletami całości „Kerabana", który powinien stale utrzymać się w repertoarze świątecznym.

Wypada mi jeszcze z naciskiem wyrazić dyrekcji uznanie za jedną rzecz, która przeszła niespostrzeżenie, aczkolwiek u nas była „noch nie dagewesen"... Oto niepamiętamy, by na sztukę, z podobnym jak „Keraban" kosztem wystawioną, **cen u nas nie podniesiono wcale!**

Z—s.

Z DNI TRWOGI.

Szkice z podróży

przez

Dr. HOLUBA.

Dnia 21 września 1887.

„Tu, tu są oni, Panie, czy mam strzelać?" I podniesioną prawicą wskazując na najbliższe, około 30 kroków oddalone mrowisko termitów, powtarzał Oswald przytłumionym głosem: „Czy mam strzelać?"

Ruchy Oswalda zwracały na się moję uwagę od dłuższego już czasu, zostawiając tedy pani Róży straż nad częścią obozu położoną od strony nieprzyjacielskiej wioski, przysunąłem się ostrożnie ku nawołującemu mię Oswaldowi. Tymczasem on wzniósł swój karabin, cel zdawał się mieć dobrze na oku, więc tylko lekko odwrócił ku mnie głowę z pytającem spojrzeniem: „mam strzelać?" Szybko położyłem rękę na jego wzniesionem ramieniu aż pod kurczowem ściśnieniem widocznie drgnął.

Wierne ramię! Nigdy mu nie była żadna praca za ciężka, żaden trud za wielki, jeżeli chodziło o to, by na obcej, mianowicie jemu—więcej niż każdemu innemu z nas — nieprzyjaźnej ziemi być pożytecznym nauce. Dzielne ramię, prawdziwa gorąca krew wiedeńska, teraz leży ono zdrętwiałe i martwe w tem wrogiem bagnisku, a ja, jego przewodnik i przyjaciel, tak bezsilny, że nie jestem w stanie za śmierć wiernego towarzysza żądać nawet zadośćuczynienia!

Już od chwili, przykładając ucho do ziemi pokrytej zdeptaną trawą, zasłyszałem zbliżanie się ludzi, ale zaglądając po nad nasz szaniec obozowy zrobiony z pakunków, nie dojrzałem żadnej żywej istoty. Ostrzeżony jednak przez Oswalda wytężyłem wzrok we wskazanym kierunku, ale i teraz nic podejrzanego nie dojrzałem; dopiero ręką przysłoniwszy oczy, aby zmitygować blask łuny pożarowej, dostrzegłem w dali wroga.

„Tak jest, Oswaldzie, nie omyliłeś się, otóż i oni; długo dziś dali na siebie czekać. — Czyż krzyki wojenne z wieczora i nadciągające ze wszech stron do wsi posiłki nie pouczyły nas dostatecznie, czego się tej nocy znowu mamy spodziewać?"

Moje palce silniej ścisnęły żylaste ramię Oswalda, który znowu podniósł karabin do góry.

„Cicho — rzekłem. — Patrz jak ich tam wielu! Na kształt wężów pełzają po ziemi od jednego pagórka do drugiego (mrowiska termitów wysokie jak stóg siana), tu i owdzie podnoszą się i prostują, aby zaglądnąć, co u nas się dzieje! Ot jeden nawet zapomniał się, bo jego włócznia zabłysła jasno w odblasku płomienia! Cicho, Oswaldzie, nie my będziemy pierwsi strzelali, krew jeszcze nie ciąży na naszych rękach. Połóż się na ziemi, unikaj wszelkiego ruchu, chyba że zechcesz dać mi wiadomy znak, jeżeli jeden z owych cieniów pokaże się między mrowiskami a nami."

Jeszcze chwilkę patrzyłem w stronę, gdzie się już licznie zebrali nasi nieprzyjaciele, potem poczołgałem się ostrożnie obok pani Róży ku Feketemu. Na moję prośbę klęczała Róża w jednym rogu namiotu przy szparze, przez którą patrzyła wciąż ku jasno oświetlonej wiosce.

Fekete pilnował strony południowej obozu zwróconej ku pożarowi. „Nic nie widziałeś?" — zapytał mnie. „Tam — rzekłem wskazując na północny wschód — gromadzą się już *nambosy* (rozbójnicy) Gdyby podeszły do ciebie te hyeny, nie strzelaj, choćby ci nawet obwąchiwały bagnet; co najwyżej pchnij, ale z namiotu nie wychylaj się ani na krok. O! o wiele gorsi i bardziej chciwi krwi nieprzyjaciele stają dziś przed nami!"

To rzekłszy skręciłem na prawo ku panu Leebowi, który razem z Oswaldem pilnował strony namiotu, zwróconej ku niedalekiemu bagnu. W tej stronie jarzyły się jeszcze węgle z wieczornych ogni, aby łatwiej widzieć w ciemnej nocy, co się dzieje dokoła, przytłumialiśmy od czasu, jak nas w kraju Maszukulumbów opuściła służba — codziennie ogień tak, że zostawały tylko jarzące węgle; w pogotowiu jednak mieliśmy zawsze suche drzewo, aby módz w każdej chwili wzniecić płomień.

„Dobrze, że pan doktór przyszedł" mruknął Leeb, już od dłuższego czasu widzę jakieś poruszające się przedmioty, ale nie jestem w stanie poznać czy to ludzie czy zwierzęta; jeżeli zwierzęta to będą to chyba hyeny lub lwy, tu oto są one, patrz pan te dwa podłużne przedmioty jeden obok drugiego przykucznięte koło największego mrowiska termitów na prawo?" — „Widzę co mi pan pokazujesz, lecz aby je należycie rozpoznać, musimy się położyć na ziemię, tylko w ten sposób będziemy mogli rozwiązać zagadkę z takiej odległości. Patrz tam oto jest znana nam już para hyen, która zaczęła nocny swój spacer dokoła naszego obozu i zwróciła na się pańską uwagę. Tam gdzie się „coś" porusza, tam nie ma żadnego Maszukulumba; jednak zwróć uwagę Feketego na te zwierzęta, a potem przysuń się do mnie i do Oswalda, będziemy ciebie potrzebowali. Przechodząc spostrzegłem jedynego czarnego który — z powodu choroby nie mogąc pójść za dziewiętnastoma innymi swoimi ziomkami, którzy od nas uciekli — pozostał nam wierny; zwróciłem jego jakoteż w chwilę później pani Róży uwagę na grożącą nam wizytę. Muszemani — tak się nazywał mój giermek — podniósł właśnie swą wełnistą głowę, zyzowate jego oko zdawało nie patrzeć na panią Różę a jednak dojrzało ono zaraz swych zaciętych nieprzyjaciół; z najobojętniejszą w świecie miną przysunął do siebie leżące z boku assagai (krótką cienką włócznię) mrucząc z cicha. „Wiem, oni przychodzą, aby nas zabić." Muszemani zapewniał nas już w czasie przeprawy przez Lueuge, że nigdy już tej rzeki niebędzie widział, pogodził się zupełnie z swym losem i zdawał się być o tem silnie przekonanym, że musimy zginąć w kraju zalueugskim. Kilka razy próbowałem mu wybić takie myśli z głowy, ale nic to nie pomagało, obstawał przy swojem. „Nie" — mówił — jeżeli, mój panie, twoje czary (*recte* moje medykamenta), nie pomogą, to wkrótce będziemy martwymi ludźmi.

Dla czegóż moi rodacy uciekli, dla czegożby nas opuścili, gdyby nie byli przekonani o tem, że tutaj muszą nas zabić?" „Tak, Muszemani"— odpowiadałem mu — gdyby twoi towarzysze nie byli uciekli, gdyby się nie byli zachowali jak podłe tchórze, nigdyby się nie odważyli Maszukulumbowie zrabować mi rzeczy, bo w 24 ludzi moglibyśmy im śmiało, jak przedtem, daleko liczniejszym Matokom, stawić opór. Możemy to i teraz, ale tylko „w obozie" — bo nie zdołamy się bronić podczas marszu, kiedy w wysokiej trawie i gęstwinie trzciny uderzą oni na nas z zasadzki; wtedy jesteśmy bezsilni, bo nas za mało; z obozu nic nam jeszcze nie zginęło ani jeden nawet paciorek. W ten sposób usiłowałem dodać ducha Muszemaniemu, ale on pozostał przy swojem, obojętnie przyjmował wszystko, okazując tylko rezygnację. Próba otrucia mnie i pani Róży że strony Nemba, zachowanie się jego i jego „wojska" w czasie, kiedy prowadził na rozboje mieszkańców Dinoki i Nikoby a także i ów stos, który ułożył z ludzkich czaszek, wszystko to kazało nam tu być ostrożnym, szczególnie we dnie i dla tego onego też dnia błogosławiliśmy noc w której ostatni z Maszukulumbów nas opuścił, bośmy byli zdania, że nasi wrogowie nie ośmielą się na nocny napad.

We dnie pozwalałem tylko niektórym osobom i to nieuzbrojonym zbliżać się do obozu, albo też dzieciom i kobietom; uzbrojeni, jeżeli ich było więcej niż pięciu, musieli stać w odległości kilku kroków od naszego obozu. Zrobiliśmy bowiem smutne to doświadczenie już w Kareuge - Boseugo, że gdyśmy tylko byli zbyt mocno zajęci rozmową lub wymianą środków żywności — Maszukulumbowie strzelali do nas a jeżeli wtedy nie mogli tego dokonać napadali nas później w drodze szczególnie w czasie przejścia przez błota. Jeżeli kilku dzikich się zbliżyło to jeden z nas musiał z nimi rozmawiać, przy wymianie żywności zwykle moja żona, bo ją powszechnie odszczególniano — byłem także pewny, że w razie napadu tylkoby ją jedną oszczędzono — natomiast zaś ja lub jeden z moich ludzi w razie potrzeby zaś wszyscy razem obserwowaliśmy pilnie wszystkie ich ruchy a szczególnie prawej ręki trzymającej dzidę. Gdy dzida była w lewym ręku nie potrzebowaliśmy zbytniej ostrożności, bo ze swojemi karabinami mogliśmy się daleko szybciej zwinąć, zanim oni przełożyliby dzidę z lewej ręki do prawej. Płacąc tym którzy nam nieśli ciężary — a musieliśmy to u tego szczepu czynić zawsze z góry— przymocowywaliśmy naprzód zapłatę, zwykle w formie 2 metrowych pstrych kawałków perkalu, do ciężaru, potem odstąpiwszy kilka kroków wstecz i karabin ustawiwszy do nogi dawałem odpowiedni znak.

W tej chwili rzucała się cała zgraja niekiedy 100 niekiedy 150 ludzi licząca na pakunki i przez chwilę nic nie było widać prócz kupy ciał na kształt wężów wijących się i niezliczoną ilość gołych rąk i nóg rzucających się w tej masie, potem kłąbek się rozwijał, kilka par wypadało z niego i te zaczynały się bić na dobre o to, który z nich będzie mógł nasze ciężary nieść a raczej kraść. I nie rzadko pakunki wychodziły z tej afery krwią obryzgane a z perkalów przeznaczonych na zapłatę połowa znikała gdzieś pod fartuszkami kobiet. Takie sceny zdarzały się regularnie przed każdym wymarszem. Początkowo przychodziło nam bardzo trudno po przejściach dnia całego przy szczupłem tylko pożywieniu czuwać także w nocy; ale wkrótce przekonaliśmy się, że jest to niezbędne i im bardziej posuwaliśmy się na północ tem ostrożniejszym trzeba było być. Ale nie wszędzie trzeba było otaczać się strażą ze wszystkich stron, więc zmienialiśmy się i muszę oddać moim ludziom tę pochwałę, że starali się zawsze skrócić godziny mojego czuwania i dać mi czas na dłuższy spoczynek.

Gwałtowny orkan posuwający się od południowego zachodu przez nieprzejrzaną i od wschodu ku zachodowi otwartą dolinę Lueuge, szalał przez dzień cały a wiatr wiał tak ostro, zimny, żeśmy drzeli i marzli, a nie mogąc podmuchowi jego stawiać należytego oporu, ledwieśmy się trzymali na nogach. Żona moja i ludzie mówili w owym dniu, żem skąpy w słowa i zadumany — i czyż nie miałem do tego powodu dostatecznego? Jakkolwiek na wszystko zdecydowany drętwiałem na myśl o ciemnej nocy, bo niebo przez cały dzień chmurami było zasunięte a do napadu w takiej nocy dawały rozsiane na milowej przestrzeni dokoła nas mrowiska termitów nieprzyjacielowi naszemu znakomitą osłonę, gdyż dozwalały mu równocześnie ze wszystkich stron zbliżyć się niespostrzeżenie — aż pod nasz obóz; w dodatku orkan huczał nam w uszach — jedynym zmyśle, na którym w potrzebie mogliśmy się jeszcze spuścić.

(Dok. nast.)

KRONIKA.

Lwów, dnia 13 października.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała: tymczasowego nauczyciela szkoły etatowej w Kurzelicach, Michała Zacharjasiewicza, rzeczywistym nauczycielem tejże szkoły; tymczasowego nauczyciela szkoły filjalnej w Wołoszczyźnie, Jana Hummla, stałym nauczycielem młodszym, zawiadującym szkołą filjalną w Wołoszczyźnie.

Do Rady powiatowej żydaczowskiej, przy wyborze uzupełniającym z grupy gmin miejskich, wybrany został p. Ludwik Chotyniecki, bibljotekarz br. Karola Lanckorońskiego w Rozdole.

Ankieta gminna skończy dzisiaj swoje obrady i uchwali projekt reorganizacji rad gminnych i Magistratów w miastach pomniejszych, a co do gmin wiejskich, to zaproponuje tylko pewne drobne zmiany.

Otwarcie nowego roku naukowego 1887/8 odbędzie się w kraj. szkole gospodarstwa lasowego we Lwowie dnia 22 października 1887, poprzedzone nabożeństwem w kościele św. Mikołaja o godzinie 9.

Wstępne egzamina na podstawie § 2 statutu rozpoczną się dnia 15 października 1887.

Nabożeństwo żałobne. W 70 rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki odbędzie się w sobotę d. 15 b. m. o god. 10 rano nabożeństwo żałobne w kościele OO. Dominikanów, na które młodzież wszystkich rodaków zaprasza.

Wieczorek muzykalno-deklamacyjny urządza „Resursa" urzędnicza w niedzielę d. 16 b. m. w sali Frohsinu. Początek o g. 7 wieczorem. Bilety dla członków resursy wydawane będą w piątek i w sobotę między godziną 6 a 8 w kancelarji Towarzystwa.

Wydział kasyna miejskiego zawiadamia panów członków, że szereg wieczorków kasynowych na sezon 1887/88 rozpocznie w sobotę dnia 15 bm. Promenade-concert orkiestry Towarzystwa „Harmonji". Początek o godzinie 8 wieczorem. — Lista otwarta. Bilety wydawane będą w sobotę do godziny czwartej po południu.

Podziękowanie. Otrzymujemy następujące pismo:

Nie będąc w stanie wśród tak wielkiego nieszczęścia ponieść wyrazów mej wdzięczności każdemu z osobna, składam przynajmniej tą drogą gorące słowo dziękczynienia w imieniu mych sierót i własnem: Najprzewielebniejszemu Arcypasterzowi Issakowiczowi, Przewielebnemu ks. Biskupowi Puzynie i wszystkim reprezentantom władz cywilnych i Uniwersytetu, wielce szanownym Kolegom zmarłego mego męża, młodzieży uniwersyteckiej, wreszcie wszystkim łaskawym osobom, które w oddaniu ostatniej dlań posługi udział wziąć raczyły lub z oddalenia nadesłały mi wyrazy współczucia. — Niech Bóg da wam nagrodę za dobroć serc waszych!

Lwów 12 października 1887.

Izabella z Trębickich Kasznica.

Zmarli w ostatnich dniach: w Kalwarji braciszek OO. Bernardynów, Aleksander Kościelniak, weteran wojsk polskich z roku 1831, przeżywszy lat 88; w Tarnowie również weteran tych wojsk, Franciszek Kozierowski, w 73 roku życia; w Lipsku znakomity przyrodnik, Leon Cienkowski, prof. uniwersytetu charkowskiego, autor licznych i cennych prac w dziedzinie fizjologji roślin.

Nekrologja. Karol Mauthoffer, emerytowany dyrektor sądu obwodowego w Samborze zmarł wczoraj w 67 roku życia.

Józef Schebesta, sekretarz fabryki tytoniu w Winnikach, zmarł we Lwowie w 47 roku życia.

Alojza Bruch, wdowa po majstrze szewskim, zmarła we Lwowie w 56 roku życia.

Marja z Gumowskich Mickiewiczowa, właścicielka dóbr, zmarła onegdaj we Lwowie w 52 roku życia.

Z Tarnowa donoszą, iż p. Weigel nie przyjął mu ofiarowanego mandatu z Tarnowa i Bochni, a w liście wystosowanym do miejscowych komitetów zaleca wyborcom p. Rutowskiego.

Z Sambora donoszą, że oprócz p. Mochnackiego i Ulerskiego, zgłosili jeszcze swe kandydatury pp. Słotwiński, radzca sądowy i Juljusz Szemelowski, notarjusz ze Lwowa, a były poseł samborski do Sejmu. W r. 1876 upadł przy wyborach wobec kandydatury śp. dra Zyblikiewicza.

W sprawie fakultetu lekarskiego. Notatka nasza, że nie należy łudzić kraju nadzieją, iż na uniwersytecie lwowskim powstanie fakultet medyczny, wywołała oburzenie w *Nowej Reformie* i w pewnem upadającem piśmie lwowskiem, które sądzi, że wrzaskiem zdoła naprawić swą zachwianą egzystencję.

Pismo to uważa, że zdrajcą kraju jest każdy, który nie jest za otworzeniem tego fakultetu; *Nowa Reforma* takiej niedorzeczności nie mówi, ale także jest przekonana, że nam nie wolno być zdania, iż fakultet ten nie jest krajowi potrzebny, skoro parę razy Koło Polskie i Sejm uchwaliły rezolucje, domagające się utworzenia tego fakultetu.

Zdanie to doprowadza zasadę konstytucyjną do absurdu, bo w takim razie musiałby kraj wpaść w zupełną stagnację, gdyby postawiono jako zasadę, że każda uchwała ciał prawodawczych musi być dogmatem wiary dla ogółu obywateli. Temu lat czterdzieści, kiedy życie konstytucyjne znano tylko z teorji, mogło się naprawdę ludziom wydawać, że każde ciało prawodawcze jest kwintesencją rozumu narodu i że to wszystko, co ono uchwali, przyniesie krajowi pożytek. Dzisiaj już wiemy, że niezawsze tak bywa, wiemy bowiem, że i z wyborów niezawsze wychodzą zwycięzcami najlepsi kandydaci, i że w ciałach prawodawczych niezawsze rozum stanu chadza w parze z większością głosów. W skutek tego zwykle nazajutrz po uchwaleniu ustawy rozpoczyna się agitacja za uchwaleniem nowelli, poprawiającej błędy tej ustawy. Więc to, że któryś Sejm kiedyś uchwalił rezolucję, wzywającą rząd do otworzenia fakultetu lekarskiego we Lwowie, nie jest i nie może być dla nikogo obowiązkiem do wierzenia, iż ten fakultet jest rzeczywiście potrzebnym krajowi. Zresztą przekonywać w tej mierze *Nowej Reformy* nie potrzebujemy, bo przed paru dniami wyraziła się ona z wielkiem lekceważeniem o zachowaniu się Sejmu w sprawach szkolnych i nie uważała wcale, aby przez to popełniała świętokradztwo narodowe.

Tyle co do tej kwestji, czy wolno być w sprawie fakultetu lekarskiego innego niż owa rezolucja sejmowa zdania i czy przez to popełnia się zbrodnię przeciw patrjotyzmowi? Co się zaś tyczy sprawy samego fakultetu, to wypowiedzieliśmy już tyle razy powody, dla których jesteśmy przeciwni temu fakultetowi, że jedynie dla tego powtórzymy je tu pokrótce, iż mamy wszelki respekt dla krótkiej pamięci naszych przeciwników.

Wychodzimy tedy z tego założenia, że liczba lekarzy w każdym kraju ma się stosować nie do liczby mieszkańców, ale do liczby osób wzywających ich porady. Więc jakkolwiek w naszym kraju stosunek lekarzy do ogółu mieszkańców nie jest ten sam, co w Anglji, w Belgji, lub nawet w Czechach, to stąd nie wypływa jeszcze, aby kraj nasz mógł utrzymać i przekarmić tyłu lekarzy, ile brakuje do tego, aby Galicja zrównała się z Anglją. Chcąc twierdzić, iż kraj nasz może dorównać w tej mierze Anglji, Belgji lub choćby tylko Czechom, trzeba wprzódy udowodnić, iż dostarczy on tyle co owe kraje nie chorych, ale p a c j e n t ó w. A tego nikt dotąd nie udowodnił, nietylko to, ale przeciwnie każdy wie o tem, kto jeno styka się z lekarzami, że już dzisiaj ma Galicja więcej lekarzy, niż ich utrzymać może i że już proletarjat między lekarzami zaczyna się mnożyć.

Owóż, jeżeli niebezpiecznym jest dla każdego kraju nadmiar adwokatów, bo wskutek tego mnoży się pieniactwo, jeżeli jest niebezpiecznym nadmiar ludzi każdego zawodu, bo ci, którzy są nadliczbowi, starają się nierzetelną konkurencją zdobyć sobie chleb, to o wiele jest niebezpieczniejszym nadmiar lekarzy, bo wiadomo, że prostem tego następstwem jest p r z e w l e k a n i e c h o r ó b. Na to następstwo krzyczą już w niebogłosy w Niemczech, we Francji, w Anglji, w zachodnich prowincjach Austrji etc., słowem wszędzie, gdzie jest więcej lekarzy, niż pacjentów.

Zróbmy więc teraz rachunek. Kraj nasz zdobędzie drugi lekarski fakultet, który będzie kosztował i którego utrzymanie wyrazi się podwyższeniem podatków. Bo przecie rząd nie wyssie z palca pieniędzy na utrzymanie tego fakultetu. W tym fakultecie wychowywać kraj będzie co roku pewną liczbę lekarzy, co także będzie kraj kosztowało. Lekarze ci, wyszedłszy z Uniwersytetu, będą chcieli jeść, pić, mieszkać, ubierać się etc., a *N. Reforma* rozumie dobrze, że się nie nakarmią jej pięknemi artykułami. Więc będą szukali pacjentów i pocznie się zwiększona konkurencja między lekarzami, gonitwa za pacjentami i przytrzymywanie każdego, którego się złowi. Owóż jeżeli już dzisiaj średnica każdej choroby (liczba dni, w których pacjent jest chory) jest dłuższą w praktyce prywatnej, niż w szpitalach, to cóż nastąpi wskutek umyślnego przewlekania chorób? Oto to, że kraj wyłożywszy na utrzymanie fakultetu i na wykształcenie lekarzy, będzie nadto płacił olbrzymie sumy pod postacią zwiększonej średnicy chorób. Czyż tego pragnie *N. Reforma*? Oczywiście nie, ale ponieważ zrobiono popularne hasło ze sprawy drugiego fakultetu lakarskiego, więc ona to hasło wypisuje na swym sztandarze i w imię jego walczy, nie zastanowiwszy się wcale nad tem, że rzecz, której się domaga, zaszkodziłaby krajowi.

Z zakładu im. Ossolińskich. W obec nielicznie zgromadzonej publiczności zagaił dzisiaj kurator zakładu, dr. Ant. Małecki uroczyste doroczne posiedzenie tej instytucji. W pośród publiczności był obecny JE. Namiestnik p. Filip Zaleski. W mowie zagajającej podniósł kurator naprzód fakta odwiedzin zakładu przez Najd. Następcę tronu i JE. ministra oświaty dra Gautscha. Następnie mówił o t. zw. dewastacji majątku zakładowego, wynikłej z ustanowy fundatora. Kurator zapewnił, że przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności i zakład żadnej szkody nie poniesie.

Z kolei skryptor p. Czarnik odczytał sprawozdanie z całorocznych czynności i o stanie zakładu, a p. Bełza odczytał pracę dra Kętrzyńskiego: „O nieznanej epopei z XV wieku" wyjaśniającą zamieszki domowe z ostatnich lat panowania Kazimierza Jagiellończyka.

Obszerniejsze sprawozdanie o przebiegu posiedzenia podamy jutro.

Ceremonje ślubne budzą wszędzie żywe zajęcie w kołach pań, panien a nawet i panów i każdy spieszy chętnie do kościoła, byle tylko zobaczyć parę młodą. Przełożeństwo zboru protestanckiego w Spandau postanowiło wyzyskać to upodobanie publiczności na korzyść ubogich gminy i ustanowiło, iż każdy nie należący do grona gości weselnych a pragnący być obecnym na ślubie czyimkolwiek, winien zapłacić 5 centów za wstęp do świątyni. Tym sposobem zapobieżono i nadto wielkiemu ściskowi w kościele i przysporzono dochodu funduszowi ubogich.

We Wiedniu uwięziono redaktora Adolfa Deymla za wymuszanie pieniędzy. Założył on pismo fachowe *Allgemeine Fabrikantenzeitung* i wymusić chciał datki pieniężne. Skutkiem doniesienia kilku fabrykantów uwięziła policja Deymla i odstawiła go do sądu karnego. Jest to drugi wypadek aresztowania dziennikarza za wymuszanie, który się zdarzył we Wiedniu w przeciągu kilku dni.

Affera Caffarela. Uwięziony 58-letni generał Caffarel, zastępca szefa sztabu generalnego, był, według relacyj, napierwszym niegdyś i najzdolniejszym uczniem szkoły wojskowej w St. Cyr. W r. 1850 został porucznikiem, a w r. 1867 majorem i oficerem ordonansowym Napoleona III. W roku 1884 mianowany generałem brygady, został szefem sztabu korpusu w Orleanie, a skoro zwrócił na siebie uwagę byłego ministra wojny, generała Boulangera, został komandorem legji honorowej i zastępcą szefa sztabu generalnego.

Caffarel ożenił się z bogatą wdową po fabrykancie Voisin i wziął za nią 800.000 franków posagu. Sumę tę jednak prędko roztrwonił na hulankę i awantury miłosne. Ponieważ pensja generała wraz z dodatkiem, wynosiła tylko 15.000 franków rocznie i nie wystarczała na hulaszcze życie, począł Caffarel zapożyczać się początkowo u agentów giełdowych, którzy liczyli na jego wysokie stanowisko, a gdy i to źródło wkrótce się wyczerpało, rozpoczął generał szacherkę z orderami. Wielką część pieniędzy w ten sposób uzyskanych rozdawał kobietom, z któremi miał stosunki i tak n. p. opowiadają, że pewnej damie z półświatka ofiarował blankiet wekslowy z podpisem, innej znów płacił 15.000 franków rocznie, a więc tyle, ile wynosiła jego roczna gaża. W ostatnim dniu przed aresztowaniem kupił na kredyt konie i powóz za 12.000 fr., które w kilka godzin po nabyciu sprzedał za 6.000 fr. gotówki.

Podobny tryb życia zwrócił uwagę ogółu i wkrótce odkryto źródła jego dochodów. Minister wojny zawezwał do siebie Caffarela i robił mu najrozmaitsze przedstawienia o jego winie i o uniknięciu jej skutków, lecz rozkazu aresztowania nie wydał. P. Ferron rachował, że Caffarel dowiedziawszy się, iż jest odkrytym, odbierze sobie życie, tymczasem stało się przeciwnie. Caffarel ufny w łaskę ministra, spokojnie przepędził ostatni dzień swej wolności u pani Limousin; gdy wieczorem do domu powrócił zastał już agentów, którzy go do aresztu odprowadzili.

Kradzieże we Lwowie. Każdy prawie dzień przynosi nam nową wiadomość o śmiałych sprawkach złodziei lwowskich, które najczęściej uchodzą im zupełnie bezkarnie.

Onegdaj posunęli lwowscy rzezimieszki swoję śmiałość do tego stopnia, iż postanowili okraść areszta miejskie.

W nocy dobrało się kilku złodziei do składu odzieży, będącej własnością przymusowych mieszkańców aresztu miejskiego i wyniosło prawie wszystką dobrą odzież. Stratę poniósł mag strat miejski, który okradzionym aresztantom będzie musiał sprawić nowe ubrania.

Przy ulicy Żółkiewskiej l. 51 wtargnął nieproszony nocny gość do mieszkania państwa R. z zamiarem ograbienia śpiących. Na nieszczęście rzezimieszka obudziła się pani R., a zobaczywszy nieproszonego gościa narobiła krzyku. — Przestraszony rzezimieszek umknął czemprędzej przez okno, nie zdoławszy nic ze sobą zabrać.

Wczoraj wieczorem niejaka Tauba Spieler zwabiła Naftalego Schumera z Rohatyna do hotelu pod Czarnym jeleniem. — Schumer wypytywał się przechodniów o mieszkanie Webera, z którym pozostawał w stosunkach kupieckich. Spielerówna, usłyszawszy, że Schumer jest obcym i nie zna Lwowa, nastręczyła mu się sama, że go do Webera zaprowadzi. Łatwowierny Schumer udał się za nią, a ta zaprowadziła go do ciemnego pokoju w rzeczonym hotelu i tam przy pomocy dwóch żydowskich kelnerów usiłowała go obrabować.

Schumer z trudem wydobył się z rąk szacnej trójki i dał znać o wszystkiem bezzwłocznie policji, która łotrzyków umieściła na razie w aresztach policyjnych.

Straszny wypadek zdarzył się dnia 9. b. m. rano pod Wiedniem na moście, wiodącym przez odnogę Dunaju do miejscowości Kagrau. Most ten jest obecnie naprawiany i z tego powodu tak założony belkami i deskami, że od biedy tylko może jeden wóz po nim się przesunąć. Zdarzyło się tedy rzeczonego dnia, iż od strony Wiednia wjechał na most duży wóz naładowany obornikiem, z drugiej zaś kareta, w której siedziało kilka kobiet i 3-letnie dziecko, a powożona przez samego właściciela ekwipażu, niejakiego Angsta, właściciela realności w Gross Enzernsdorf. Jedną z kobiet, siedzących w karecie, była młoda narzeczona Angsta, którą miał w kilku dniach zaślubić i właśnie jechali w towarzystwie przyjaciółki do Wiednia, aby porobić ostatnie sprawunki weselne.

Przypadek chciał, że kareta, chcąc minąć wóz wieśniaczy, zajechała od strony poręczy, której chwilowo nie było nawet, lecz na jej miejscu założono cieniutkie krokwie. Atoli przesmyk był tak wąski, że żadną miarą nie mogły obydwa zaprzęgi przejść obok siebie. Mimo to Angst chciał postawić na swojem i ściągnął swoje konie batogiem — równocześnie wóz z obornikiem ruszył także z miejsca. W tej chwili kareta, naciśnięta przez wóz, przechyliła się ku poręczy, która w okamgnieniu prysła pod jej ciężarem i cały ekwipaż wraz z towarzystwem wpad do wody głębokiej w tem miejscu na jakie 8 metrów. Pomimo spiesznego ratunku obecnych na moście robotników, utonęła owa przyjaciółka narzeczonych wraz z 2-letnim synkiem. Angst zaś właściwy sprawca całej katastrofy, wypłynął szczęśliwie na brzeg, wyłowiwszy z toni także swoją narzeczonę. Angsta pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Rozmaitości.

— **Teściowa.** Już w komedjach greckich z czasów Periklesa, teściowa była postacią, skazaną na ostrze satyry. Nie lepiej powodziło się jej i w Rzymie cesarskim. Wszędzie dowcip wykwintny lub szorstki bawił się jej kosztem. Pisarz francuski Carrance zebrał przed dwoma laty satyry, epigramy i anegdoty, wymierzone przeciwko tym zasłużonym kobietom. Na przykład:

— Jesteś smutny, przyjacielu!
— Wracam z cmentarza.
— Czyś stracił kogo z krewnych?
— Tak, teściową.
— Przyjmij moje ubolewanie.
— O, nie zasmuca mnie zgon teściowej, jeno mowa pogrzebowa duchownego.
— Cóż powiedział?
— Nie płacz; w niebie znów się zobaczycie...

Albo to — u bram raju:

— Otwórz św. Piotrze; zasłużyłem na niebo.
— Cóżeś zrobił?
— Miałem teściową.
— Wejdź mój synu, raj jest miejscem dla męczenników.

Przychodzi do bram raju drugi śmiertelnik:

— Otwórz św. Piotrze; podwójnie zasłużyłem na niebo.
— Cóżeś zrobił?
— Miałem dwie teściowe.
— *Vade retro*, raj jest dla męczenników, a nie dla głupców...

Wobec tej międzynarodowej koalicji humorystów jedno z pism niemieckich, *Das Echo*, rozpisało w tych dniach konkurs na poemat najwyżej 8-wierszowy ku czci teściowych, aby naprawić krzywdę, jaka im się dzieje od czasów Periklesa. Na konkurs ten wpłynęło 1.237 podań — liczba na Niemcy może niezbyt wysoka. Dwadzieścia marek nagrody (dość skąpo, jak na taki temat) otrzymała drogą wylosowania z pomiędzy 20-tu najlepszych poematów następująca apostrofa do teściowej:

Dałaś mi swoje piękne dziecię
I zeszła na mnie radość błoga,
I dziękczynienie ślę ci, droga —
Dałaś mi to, co zdobi życie!

Muzyką miłą i najprostszą
Brzmi nam naszego szczęścia gama —
A ty się starasz ciągle sama,
Że nam bogowie nie zazdroszczą...

W końcowym ustępie tego wierszyka zdaje się autor znowu piać na starą nutę. Wybieramy tedy inny z poematów, jakie redakcja obok nagrodzonego wydrukowała. Oto jest wiersz, który napisała kobieta, matka czterech synów żonatych;

Więc tylko ośm wierszyków na to?
Teściowej przyznaj bez zawzięcia,
Że w ową skromność jest bogatą,
Której nie znajdziesz u dziewczęcia.

Bo mam synowie cztery własnych
i stwierdzam prawdę tę życiewą,
Że wśród piorunów sporu jasnych
Ja ciągle mam — ostatnie słowo!

To także wygląda na szykanę. Lepsze już bezwarunkowo wrażenie robi list niejakiego Fellenhubera z Londynu. Ten, stając do konkursu, po prostu prozą zawiadomił redakcję, że posiada już czwartą teściowę, że wszystkie żyją i że on, Fellenhuber z Londynu, ze wszystkiemi w harmonji pozostaje i w przyjaźni...

Zakończyć chyba tę notatkę wolnym przekładem wiersza Edgara Poe.

Nerwowy, nieszczęśliwy poeta amerykański musiał mieć idealną teściową, skoro ją uwiecznił w tak natchnionym hymnie:

Czując, że w niebie, nie na marnej ziemi,
Aniołów grono szepcąc, do ostatka
Między słowami swemi gorącemi
Jako najświętsze będzie szeptać; „Matka"—
Nazywam ciebie drogiem tem imieniem
I memu sercu wzrok twój błogość czyni,
Odkąd dla mnie świat jest spustoszeniem,
Odkąd duch umarł żony mej Wirginji!
Bo moja matka, śpiąca też w mogile,
Była za życia matką tylko moją;
Ty jednak stoisz na mych hołdów szczycie
Jako tej matka, którąm kochał mile,
Za którą wciąż się me wspomnienia roją,
Która mi droższą była niźli życie...

— **Bibljoteka dla ślepych.** Z postępem czasu i biednym ociemniałym zostało otworzoną droga do samoustnego kształcenia się — przez czytanie. Litery dla ślepych są wypukłe, a druk *relief* nader kosztowny. Do niedawna istniała tylko jedna książka dla ślepych: była to biblja anglikańska, którą przed kilkunastu laty wydało pewne towarzystwo dobroczynne w Anglji. W zeszłym jednak roku zawiązało się za inicjatywą p. Maurycego de la Lizeranne towarzystwo w Paryżu mające na celu wydawanie książek dla ociemniałych. Wiele panów i pań z arystokracji francuskiej przystąpiło do stowarzyszenia na którego czele stanął p. M. de la Lizeranne, który jest także ociemniałym.

Skoro tylko dzieło jakie zostanie wydrukowanem i oprawionem w stósowny sposób, składa się je w bibljotece p. de la Lizeranne i bibljoteka ta mieści się w domu przy bulwarze Inwalidów, i służy jednocześnie dla ślepych jako bezpłatna wypożyczalnia. 30.000 ociemniałych w Paryżu może się teraz rozkoszować arcydziełami literatury i nigdy może Paryżanie nie zajęli się tak szczerze jakimś dobroczynnym celem jak ową bibljoteką. Samo przez się rozumie się, że bibljoteka nie posiada dotychczas wiele książek, gdyż zważyć należy, że druk *relief* jest bardzo drogi a bibljoteka istnieje dopiero od kwietnia roku zeszłego.

Ciekawy przedstawia widok pracownia prezesa bibljoteki p. M. de la Lizeranne. Urządzenie już bodaj dlatego każdego zajmie, ponieważ wszystkie tam się znajdujące sprzęty są dziełem rąk ociemniałych.

Ulubionym autorem ślepych jest Franciszek Coppée — gdyż on umie znakomicie kreślić nieszczęścia biednych.

Szerokie biurko p. M. de la Lizeranne'a zarzucone jest litami i papierami najrozmaitszej treści, a biedny ślepy z podziwienia godną wprawą umie się w swej pracowni zorjentować. Ledwie ręką przesunie po jakiejś książce prędko odczyta miejsce. La Lizeranne jest dumnym że dostarczył towarzyszom swego kalectwa przeszło 1000 książek do czytania.

Wprawdzie koszta druku wydawnictwa pokryte zostały z datków dobroczynnych lecz inicjatywa przypada w zupełności p. de la Lizeranne.

Wtorek jest dniem wypożyczania książek. Wówczas tłumy ślepych, starców i młodych, mężczyzn i kobiet ciśnie się do Lizeranne'a, oddając książki przeczytane i prosząc o nowe. Wszyscy chcą się udoskonalić w swem fachowem zajęciu, gdyż nadmienić musimy, że książki dla ślepych są przeważnie naukowej treści.

Część ekonomiczna.

= Odczyszczanie starych obrazów olejnych. Zwykle stare obrazy — jak to mówią — czernieją w skutek czasu. Właściwie nie dzieje się to w skutek czasu, ale z następującej przyczyny. Malarze do tej pory używają jeszcze, jako białej farby, związku ołowiu. Otóż pod wpływem siarkowodoru ołów tworzy z nim siarek ołowiu, ciało czarnego koloru. — Ponieważ farba biała stanowi podstawę wszystkich barw jasnych, więc nic dziwnego, że obraz po pewnym przeciągu czasu czernieje. Odnowić go można bardzo łatwym sposobem za pomocą wody utlenionej. Otrzymujemy ją w sposób następujący:

Do butelki, mieszczącej w sobie około kwarty, wlewamy półkwaterek terpentyny zwyczajnej; resztę zaś butelki napełniamy czystą wodą, najlepiej przekroploną (dystylowaną), tak aby ósma część butelki pozostała próżną. Butelkę zakorkujemy, stawiamy na słońcu i od czasu do czasu (po kilkanaście razy dziennie) kłócimy jej zawartość. Po upływie kilku dni mamy już gotową wodę utlenioną. Z butelki ostrożnie zlewamy wodę, strzegąc pilnie, ażeby ani jedna kropla terpentyny nie zanieczyściła jej, i maczając w niej miękką gąbkę lub szmatę, ostrożnie pocieramy obraz. Przy ostrożnem obchodzeniu się po kilku wytarciach obraz staje się czystym i nabiera właściwego kolorytu.

Odbywa się to w ten sposób, że woda utleniona utlenia siarek ołowiu i tworzy siarczan ołowiu, ciało pięknego białego koloru.

Wiedeń 11 października.

(Z.) Drożyzna gotówki oddziaływa ciągle i coraz to silniej na usposobienie targu efektami. W rezultacie tego oddziaływania zaszła zupełna zmiana dotychczasowych stosunków na targu pieniężnym. Nie tak dawno temu jeszcze spekulacja zwracała się głównie do rent; później przekroczenia budżetowe węgierskie usposobiły publiczność kupującą i spekulację do zachowania większej rezerwy, jakkolwiek kursa trzymały się jeszcze stale: dzisiaj spekulacja nie chce o rentach słyszeć, pozbywa się ich, a kursa spadają ciągle. Ten sam los spotkał owe gwarantowane papiery kolejowe, które uważane są na równi z rentami, a nawet z kolejami jest jeszcze gorzej, ponieważ nie ma na nie w każdej chwili kupca. Dzisiejsza giełda była zupełnie pod wrażeniem tych przygnębiających faktów, to też panowało usposobienie nadzwyczaj mdłe, pomimo że z zagranicy przyszły dobre kursa, a rezultat wyborów w Bułgarji, korzystny dla dzisiejszego rządu, zrobił także bardzo dobre wrażenie.

Trudności, jakie pojawiły się przy prolongacie efektów pogorszyły jeszcze bardziej usposobienie giełdy, jakkolwiek trudności te nie były nadzwyczajne, a $6\frac{1}{2}$ proc. dla spekulacji nie mógł być znowu tak strasznym i niezwykłym. Oddawna przyzwyczaiła się ona do taniego reportu, atoli drożyzna gotówki dotknęła ją tak przykro dla tego, że stosunki kredytowe na giełdzie wiedeńskiej są ciągle jeszcze bardzo niezdrowe.

Najlepiej jeszcze trzymały się kursa papierów bankowych, gdyż tutaj normę stanowiły kursa zagraniczne, natomiast w rentach i akcjach Towarzystw transportowych obroty aż do zamknięcia giełdy były coraz słabsze. Akcje przemysłowe uległy w końcu słabej reakcji zniżkowej. Waluty nie uległy żadnej zmianie.

Notowano:

Kredyty austr. 284·20, austro-węgierskie 885·—, uniony 212·60, anglobanki 111·75, laenderbanki 228·20, bankvereiny 93·75, ludwiki 214·75, czerniowieckie 223 —, renta wspólna 81·10, srebrna 82·40, złota austrjacka 112·—, papierowa 5% 96·10, złota węgierska 99·20, papierowa 5% 85·70, ruble 1·10.—

Telegramy „Przeglądu".

Paryż 13 października. Agencja Havasa dementuje wiadomość przez *France* podaną, jakoby Rouvier interweniował w aferze Caffarela, przeciwnie konstatuje, że władzom sądowym pozostawiono wszelką swobodę działania.

Algier 13 października. W Oudja wybuchło wielkie wzburzenie między rywalizującemi szczepami Mehaia i Angad; oba pokolenia zbierają stronników do możliwej akcji wojennej.

Londyn 13 października. Blisko tysiąc robotników będących bez zajęcia zgromadziło się na Trafalgarsquare, następnie po gwałtownych socjalistycznych mowach — z czarnemi chorągwiami o napisach „Chleba lub roboty" ruszyło do City. Porządek nie został nigdzie naruszony.

Georgeny Szut Imre 13 października. Następca tronu w towarzystwie arcyksięcia Fryderyka i księcia Leopolda odjechał wczoraj wieczorem o g. 7 wśród entuzjastycznych okrzyków ludności.

Paryż 13 października. Wilson stanowczo zaprzecza, jakoby pisał do pani Limousin listy dotyczące szacherki orderami, a które to listy miał rzekomo widzieć Krejtmajer.

Bombaj 13 października. W Heracie przedsięwzięto wszelkie możliwe środki obronne.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

dnia 12 października.

Hotel Angielski: R. Chlebowski z Zagórza. A. Turliński z Itzkan. P. Jarowicz z Podkamienia. W. Majewski z Stanisławowa. A. Meyer z Berlina.

Z zbożowych targów

13 październ.	Lwów	Tarnopol	[illegible]	Jarosław
Pszenica	6 10 – 6 65	6 — 6 50	6 — 6 40	6 25 6 7·
Żyto	4 10 4 60	4.— – 4 45	4 – 4 30	4 25 – 4 70
Jęczmień	5.— – 6 50	4.— – 5 75	4.— –5.50	4 — 6 45
Owies	3 10 – 3 60	3 40 3 95	3.50 4 —	3.65 – 4
Groch	.— 5 —	4 50 7 —	4.25 6.50	4 75 7 —
Wyka	.— 4 50	3 85 – 4 40	3.50 – 4.50	4.— – 4 75
Rzepak	9.— 10.—	9 — 9.60	9.— 9 50	9. — 10 —
Lnianka	.— –	—	— —	— —
Konic. czer.	35.— – 45	30 42 42 —	22.— 40	35.—46 —
Konic. biała.	———	40.— 48.—	37.— 50 —	40 —55
Konic. szwed.	———	— — —	— —	— —

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 25 – 60 nominalnie. **Okowita** za 10·000 litr. proc. Lwów loco 26·— do 26.50 **Wiedeń** 13 październ. Pszenica od 7 35 do —·—. Żyto od 5·70 do ·— Okowita 25.50 – do —·—. **Berlin** 13 październ. Pszenica 150.— do 159 — Żyto 110.— do 119 — Okowita 96 — do 100.—. **Peszt** 13 październ. Pszenica 6 87·— do — Żyto 5.30 do —·—· Okowita 26·50 do —.—.

Kursa giełdowe.

Wiedeń dnia 13 październ. Godzina 10 minut 55. Renta wspólna papierowa 80·90 Renta wspólna srebrna 82·20 Renta 4% złota 111.95. Renta 5% papierowa 95.90. Akcje banku austro-węgierskiego 885.— Akcje austrjackie kredytowe 284.20. Funty szterlingi 125·55. Napoleondory 09·93—.Marki niemieckie 61.40—.

Lwów. Z Izby handlowej, 13 października 1887.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	213 —	216 50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	222 50	225 50
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	281 —	286 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	211 —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku. hyp. galic. 6 prc. w. a.	- - —	— —
„ „ „ 5 „ „	99 60	100 60
„ „ „ 5 „ prem.	103 25	104 25
Banku krajowego $4\frac{1}{2}$ % w. a.	95 50	96 50
Tow. kred. galic. 5 „ „	101 —	102 —
„ „ „ 4 „ „	92 75	93 75
„ „ „ $4\frac{1}{2}$ „	98 25	99 50
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	50 —	53
„ „ „ „ (d. 5%) $2\frac{1}{2}$% „	44 —	47
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 15	104 15
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103 50	105 50
„ „ „ 1883 $4\frac{1}{2}$ % „	94 50	96 50
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	18 75	20 75
„ Stanisławowa	32 —	35 —
6. Monety.		
Dukat holenderski	5·82	5·92
Dukat cesarski	5·88	5 98
Napoleondor	9·88	09·98
Półimperjał rosyjski	10·24	10·34
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1 09¾	1·11¼
100 marek niemieckich	61.20	61.80

Pociągi kolejowe

podług zegaru lwowskiego od dnia 1. październ. 1887 roku.

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pospiesz	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany	Pociąg kurjerski	Pociąg lokalny
Z Krakowa	5.50	9.27	11.35	3.58	8.34 Ze Zimnej wody
„ Podwołoczysk	10.24	3.05 (pociąg mięszan.)	3.50	2.15	
„ „ na Podzamcze	10.10	2.28 (pociąg mięszan.)	3.19		
„ Czerniowiec	10. 3	3.35 (pociąg mięszan.)	3.30		
Ze Lwowa odchodzą:					
Do Krakowa	10.44	4.10	4.50	2.25	7.58 Do Zimnej-wody
„ Podwołoczysk	6.10	10.25 (pociąg mięszan.)	12 38	4.08	
„ „ z Podzamcza	6.22	10.55 (pociąg mięszan.)	1.08		
„ Czerniowiec	6.20	11.06 (pociąg mięszan.)	12.22		

Do Lwowa przychodzą:

Ze Stryja-Ławocznego przychodzi pociąg osobowy o godz. 8 m. 39, o godz. 4 m. 15 i o godz. 1 m. 15.

Ze Stanisławowa-Husiatyna przychodzi pociąg osobowy o godz. 9 m. 43 i o godz. 3 m. 10.

Ze Lwowa odchodzą:

Do Stryja-Ławocznego pociąg osobowy o godz. 6 m. 10, o godz. 11 m. 27 i o godz. 7 m. 44.

Do Stanisławowa-Husiatyna odchodzi pociąg osobowy o godz. 6.— i o godz. 12 m. 02.

Uwaga: Godziny oznaczone grubemi liczbami oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5.59 m. rano.

1)

Klejnot kapłanów.

(Z angielskiego).

I.

Słowa niniejsze, skreślone na ziemi indyjskiej, przysyłam moim krewnym do Anglji, jako wyjaśnienie powodów, które mnie skłoniły do zerwania stosunków z Johanem Herncastle, naszym kuzynem.

Wiem, że kilku członków naszej rodziny, których przyjaźń i życzliwość bardzo wysoko cenię, błędnie tłumaczyło sobie moje dotychczasowe milczenie w tej sprawie. Zanoszę do nich tę jedyną, usilną prośbę, aby sąd swój wstrzymali, aż do przeczytania poniższego opisu, a honorem ręczę że to, co zamierzam opowiedzieć, zawiera samę tylko szczerą i czystą prawdę.

Zajście, które nas rozdzieliło, odnosi się do pamiętnej walki, w której obydwaj wzięliśmy udział, mianowicie do zdobycia miasta Seringapatam przez nasze wojska, w dniu 4 maja 1799 roku, pod wodzą generała Baird.

Lecz dla zarozumiałości muszę sięgnąć nieco dalej w przeszłość i nadmienić, jakie w naszym obozie krążyły pogłoski i opowieści o skarbach nagromadzonych w pałacu Seringapatam.

II.

Przedmiotem jednej z tych opowieści, i to najdziwaczniejszej, był djament żółty, niezmiernej wielkości i ceny, słynny w dziejach indyjskich.

Wedle najdawniejszych podań, djament ów był osadzony w czole bożka o czterech rękach, wyobraziciela księżyca. Z tego też powodu nazywano nieraz ów klejnot kamieniem księżycowym, jak również i dla tego, że przesądna wiara Indjan przypisywała mu własność tracenia blasku podczas nowiu księżyca, a odzyskiwania go podczas pełni.

Mówiono mi niegdyś, że podobny przesąd istniał w Grecji i Rzymie; lecz tam własność zmieniania barw i blasku, w miarę zmian księżyca, przypisywano nie djamentowi tylko jakiemuś gatunkowi onyksu, który otrzymał nazwę kamienia księżycowego i pod tem imieniem znany jest naszym badaczom starożytności.

Dzieje djamentu żółtego rozpoczynają się w XI. wieku naszej ery.

W owej epoce zdobywca mahometański Mahmud z Gazna, przybywa do Indyj, bierze szturmem święte miasto Somnauth i rabuje skarby słynnej świątyni, która już wtedy była odwiedzanem miejscem pielgrzymki Indjan i podziwem całego Wschodu.

Ze wszystkich bożyszcz, wielbionych w świątyni, jedyne tylko bóstwo księżyca zostało ocalone od łupieztwa muzułmanów.

Posąg bożka, z djamentem oprawnym w jego czole, wykradziony został nocą przez trzech braminów i przeniesiony do Benares, drugiego świętego grodu Indyj.

Bożka umieszczono w zbudowanej na ten cel świątyni, o ścianach wyłożonych drogimi kamieniami, pod dachem wspartym na szczerozłotych kolumnach.

Tej samej nocy, w której świątynia została ukończona, Wisznu zjawił się we śnie trzem braminom i rozkazał, aby odtąd po wszystkie wieki trzech kapłanów czuwało dniami i nocą nad dyamentem księżycowym.

Bramini słyszeli rozkaz i padli twarzą na ziemię, przysięgając spełnić wolę bóstwa.

Wisznu oznajmił im, że na śmiertelnika, któryby poważył się zabrać święty klejnot, oraz na wszystkich krewnych i potomków, któryby po nim oddziedziczyli owoc świętokradzkiego czynu, spadną wszelkie nieszczęścia i klęski. To proroctwo bramini wyryli złotemi głoskami na podwojach świętego przybytku.

Lata i wieki mijały, lecz z-pokolenia do pokolenia następcy owych trzech braminów czuwali dniem i nocą nad klejnotem, powierzonym ich pieczy.

W początku XVIII wieku Aureng Zeb, wstąpiwszy na tron cesarzów mongolskich, dał hasło do nowych łupieztw i mordów. Świątynię Bramy obrócono w perzynę; przybytek bożka nocy zniewałano rzezią zwierząt poświęconych, posągi bóstw zostały zgruchotane, a dyament wpadł w ręce dowódcy wojsk mongolskich.

Trzej bramini, wierni stróże klejnotów, widząc, że nie zdołają odzyskać swego skarbu zbrojną ręką, postanowili zataić swoję godność i wszelkiemi sposobami czuwać nad jego losem. Lata upływały, świętokradzca zginął nędzną śmiercią; dyament przechodził z rąk do rąk, siejąc wszędzie klęski, przepowiedziane przez Wisznu, a bramini wciąż pełnili swoje posłannictwo, oczekując cierpliwie chwili, w której Brahma pozwoli im odzyskać uświęcony przedmiot tyloletnich zabiegów. Po koniec XVIII wieku dyament został własnością Tippo, sułtana Seringapatam, który dał go oprawić w rękojeść swego puginału.

Lecz i w samym pałacu sułtana bramini nie przestali pilnować klejnotu. Krążyła pogłoska, że trzej służalcy Tippo, nikomu wprzód nieznani, potrafili zyskać zaufanie władzcy swoją pozorną gorliwością w pełnieniu przepisów islamizmu i że tymi służalcami byli właśnie trzej bramini, kapłani bóstwa nocy.

III.

Takieto w naszym obozie opowiadano baśnie o dyamencie braminów; nikt im na serjo nie dawał wiary, wyjąwszy mojego kuzyna, który będąc z usposobienia przesadnym, brał za dobrą monetę wszystko, co nosiło na sobie cechę cudowności.

W przeddzień szturmu do Seringapatam, rozgniewał się na mnie i kilku kolegów za to, że historję o dyamencie nazwaliśmy bajką; doszło do gwałtownej kłótni, a John, uniesiony zwykłą sobie popędliwością, posunął się zadaleko. Po tysiącznych przechwałkach i niedorzecznościach, powiedział, że jeśli armja angielska zdobędzie miasto, to zobaczymy dyament na jego palcu. Na to oświadczenie wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, i zdawało się, że całe zajście na tem się skończy.

Nazajutrz o świcie, armja nasza ruszyła do szturmu. Zaraz na początku walki kuzyn mój zniknął mi z oczu, nie widziałem go ani przy przejściu rzeki, ani na wyłomie, gdy na nim zatknięto sztandar angielski, ani wreszcie w owej chwili, gdy przebywszy fosę, wkroczyliśmy do miasta, walcząc o każdą piędź ziemi z nieprzyjacielem.

Spotkaliśmy się dopiero o zmroku, po zupełnem opanowaniu miasta. Generał Baird powierzył nam dowództwo nad oddziałem, przeznaczonym do powstrzymania gwałtów i rabunku, tych klęsk nieodłącznych od zdobycia miast szturmem. Maruderzy z naszego obozu dopuszczali się rzeczywiście przeróżnych nadużyć i bezprawi, a co gorsza, żołnierze dostali się, przez drzwi nieobsadzone strażą, do skarbca i obładowali się złotem i klejnotami.

Herncastle i ja, zeszedłszy się w dziedzińcu wiodącym do skarbca, usiłowaliśmy zaprowadzić ład i karność wśród rozhukanego żołdactwa. Lecz spostrzegłem od razu, że zwykła gwałtowność mojego kuzyna, była jeszcze podniecona walką i widokiem rzezi, którą należało powstrzymać; był też, moim zdaniem, wcale niezdolny do pełnienia powierzonego sobie zadania.

W sali skarbca było dość nieporządku i zamieszania, lecz nie zauważyłem żadnego gwałtu, żadnej krwawej sceny, żołnierze rabowali wesoło, jako dzieciaki na wakacjach, obrywając owoce z sadu. Śmieli się, żartowali, a koncepta dotyczące djamentu były na wszystkich ustach: „Kto znalazł djament braminów?" To pytanie powtarzało się ustawicznie, zwłaszcza w pokojach jeszcze nie przeszukanych.

Usiłowałem nadaremnie zaprowadzić jaki taki porządek między tymi rozgorączkowanymi ludźmi, gdy nagle, z przeciwległej strony dziedzińca, przeraźliwy krzyk doszedł moich uszu. Pobiegłem tam co tchu, lękając się aby żołnierze nie popełnili jakiego przestępstwa.

Przybyłem do drzwi otwartych na ścieżaj, w progu leżały zwłoki dwóch Indjan... z ich stroju poznałem, że byli to urzędnicy pałacowi.

Z wnętrza rozległy się nowe krzyki... Wpadłem do komnaty, mającej pozór zbrojowni. Tu-taj zobaczyłem jeszcze jednego Indjanina, w chwili gdy padał u stóp człowieka, obróconego plecami do drzwi, tak, że jego twarzy widzieć nie mogłem. Lecz słysząc moje kroki ów człowiek spojrzał ku drzwiom. Był to John Herncastle. W jednej ręce trzymał zapaloną pochodnię, w drugiej puginał krwią zbroczony.

Kamień, osadzony w rękojeści puginału, rzucał tysiace świetnych promieni przy świetle pochodni. Konający Indjanin podniósł się na kolana i wskazując na puginał, rzekł w języku indyjskim te wyrazy:

— Djament ten stanie się zgubą dla ciebie i dla twoich...

To wyrzekszy, padł bez życia. Żołnierze, spieszący tuż za mną, wbiegli tłumnie do zbrojowni. Zanim zdołałem powziąść jakeś postanowienie, Herncastle rzucił się między żołnierzy jak szalony.

— Zrób tu porządek — krzyknął do mnie — i postaw straż przy drzwiach.

Żołnierze, onieśmieleni płomieniem pochodni i widokiem puginału, rozstąpili się. Ja, zdumiony i nieumiejący jeszcze zdać sobie sprawy z tej dziwnej sceny, postawiłem na straży dwóch wiernych ludzi z mojego oddziału. Przez resztę tej straszliwej nocy nie spotkałem już Johna Herncastle.

O świcie, ponieważ ciągle jeszcze rabowano, generał Baird kazał obwieścić przy odgłosie bębnów, że każdy, schwytany na rabunku, zostanie powieszony, bez względu na stopień wojskowy.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni i litografji Pillera i Spółki (Nr. Telefonu 174 A.)